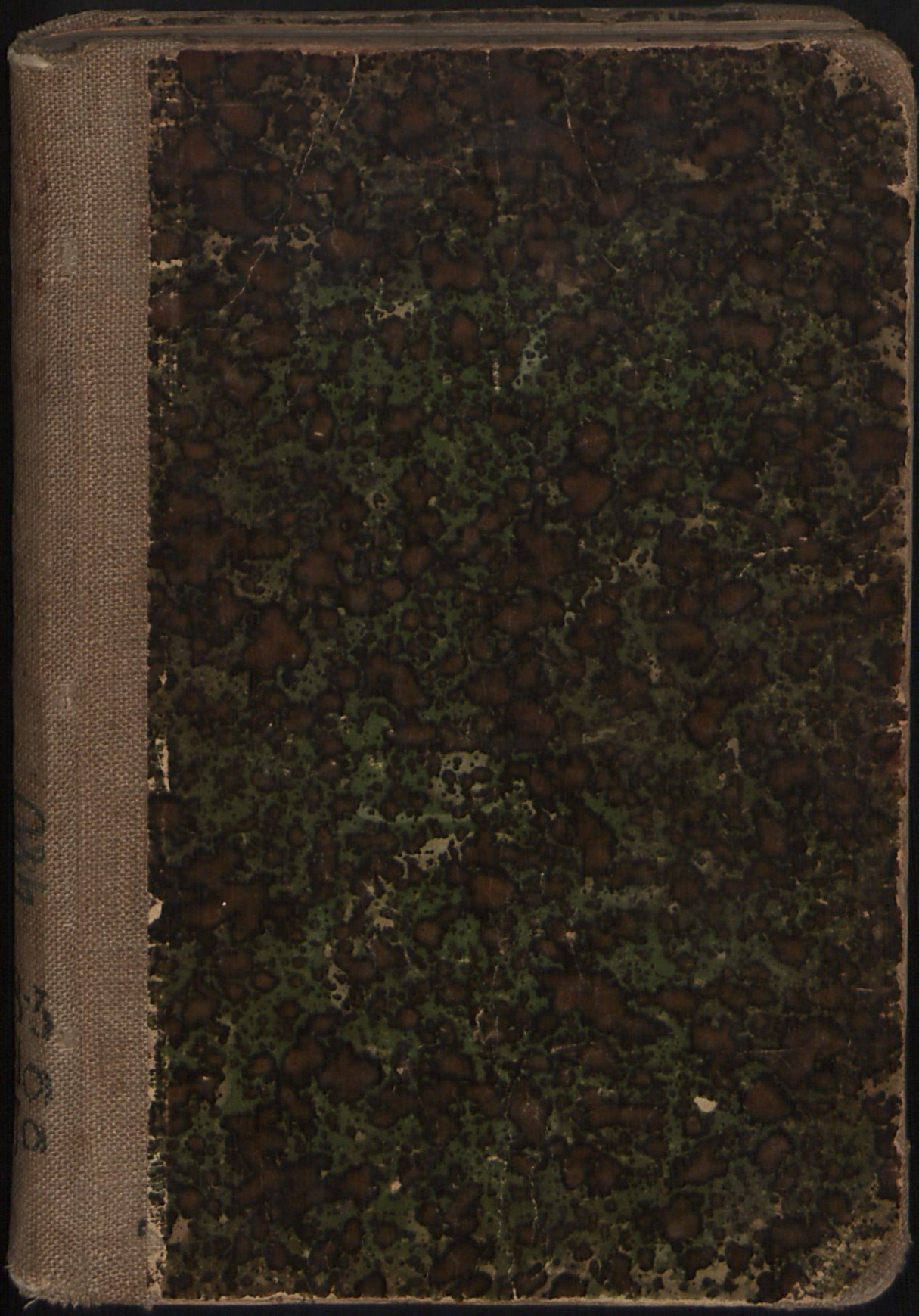
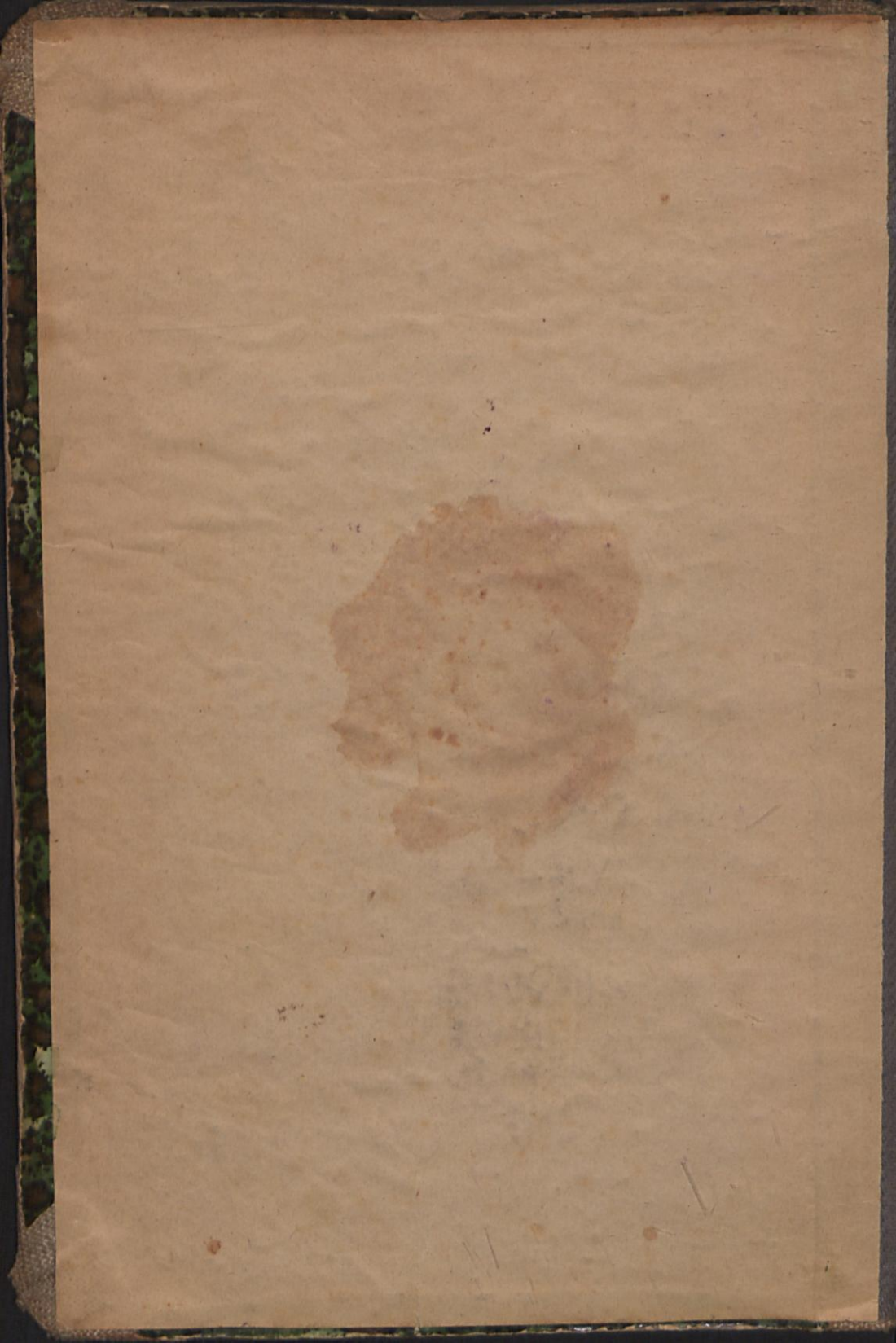


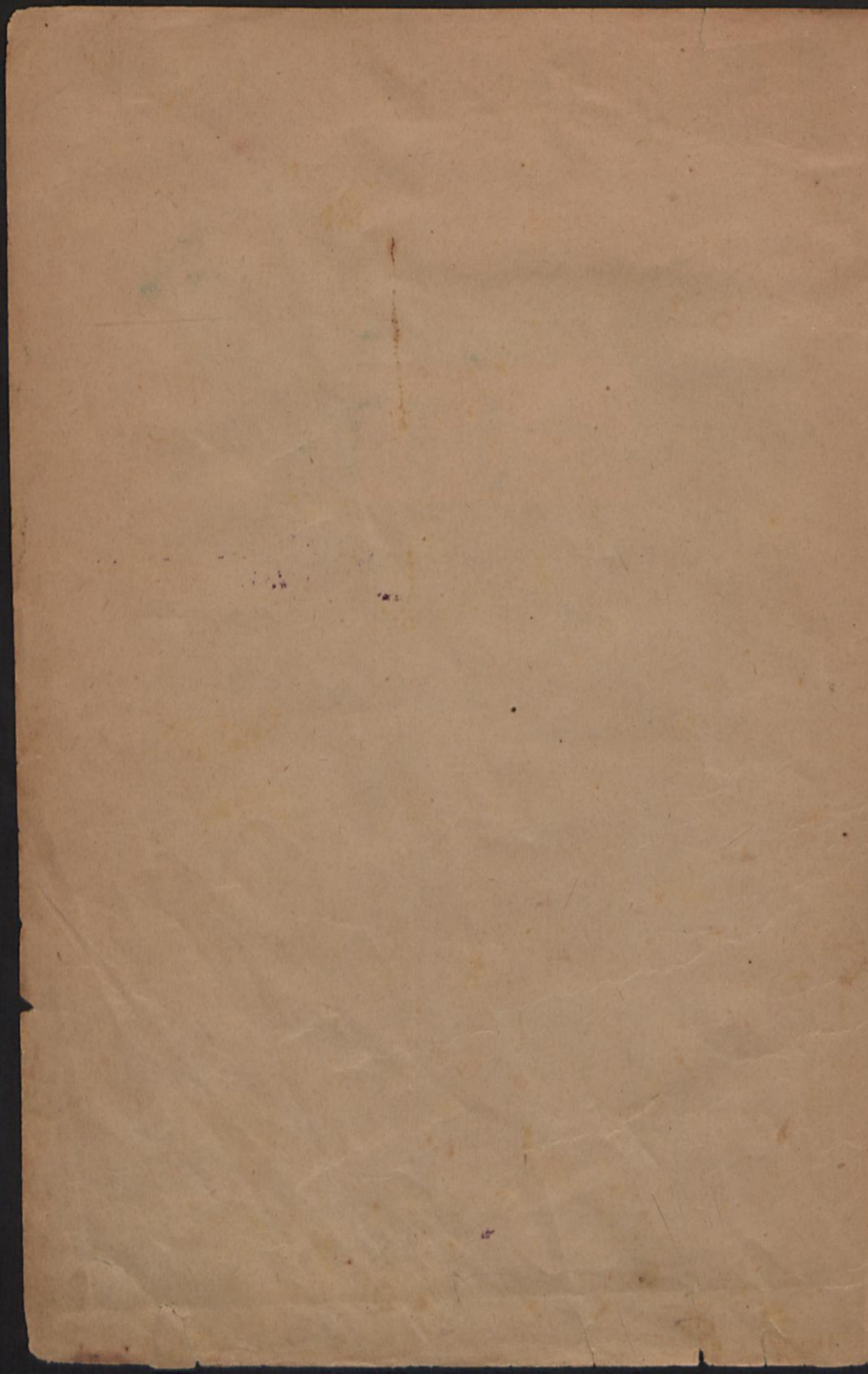




4543

480

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
MIASTA ZAMOŚĆ
W ZAMOŚCIE





~~WYDAWCA PUBLISZKA~~
~~IN JANA DĄBIAŁOWSKIEGO~~
~~W Zamościu.~~

PIOTR FLAMM
JA ?



* WARSZAWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

ORIENT R. D. Z. EAST * REDAKTOR

HENRYK E. LASHARTY * REDAK-

CJA i ADMINISTR. w WAR-

SZAWIE, PROSTA 17. *

TELEF. 408-95 * SKRÓT

TELEGR. „EAST” WAR-

SZAWA * KONTO

CZEK. w P.K.O.

N^o 13.564 *

PIOTR FLAMM

JA ?

POWIEŚĆ

W PRZEKŁADZIE

Bolesława Jacka Frühlinga



WOTKA
M. JAKAŁOWSKI
W. Zamoczek

1 9 2 7

WARSZAWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
ORIENT R. D. Z. EAST
W WARSZAWIE
17, Prosta, 17

DRUKARNIA WSPÓŁCZESNA, Warszawa, Szpitalna 10.

Okladkę projektował J. TOM

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

480

8-3

Fla
Ja

Wszelkie prawa zastrzeżone

Księgozbiór BP



10084407

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

Copyright nineteen hundred twenty seven
by Warszawska Spółka Wydawnicza
ORIENT R. D. Z. EAST WARSAW

Printed in Poland

14529 / p

— Nie, panowie sędziowie, to nie ja mówię swemi ustami, to człowiek, który umarł. Nie ja stoję przed wami, nie moje ramię się podnosi, nie moje włosy zbielały, to nie mój czyn, nie!

Nie możecie tego pojąć. Sądzicie, że mówi do was ktoś żywy, że stoi przed wami — człowiek obłąkany. Nie jestem warjatem. Ale od dziesięciu lat leżę w ziemi, ciało moje spróchniało, kości zmieniły się w szary proch, oddech — — nie oddycham już! Wszystko minęło. Leżę w ziemi, pod Verdun, nade mną rumowiska Douaumont, wiatr wieje nad opuszczonemi grobami, nad opuszczoną ziemią, opuszczonemi trupami. Pójdźcie tam, panowie, grzebcie w piasku, drążcie podkop pod wielką jamą, którą wyrył granat; znajdziecie ją po lewej stronie pola, pełno w niej wody, może lepkiego błota. Nie obawiajcie się: niema już wojny, nie padnie żaden pocisk i nie rozerwie was

na sztuki, nie rozlegnie się żaden okrzyk, kawały ciała ludzkiego nie będą latać w powietrzu, nie napotkacie śladów krwi, nie ujrzycie postrzępionych trupów. Cisza. Cisza zupełna, ostateczna. Pochylcie się! Odkopcie grudę ziemi! Oto jestem — otoście mnie znaleźli. To kości moje, i czaszka, i imię, które, nie będąc mojem, jest niem równocześnie, i los nie mój, lecz cudzy, los, który mnie zdusił w uścisku, jak gdyby był moim własnym.

Jakżeto opowiedzieć nieswojami ustami, nieswoim językiem? Jakżeż potrafiacie uwierzyć mi, gdy sam sobie nie wierzę? A jednak tak było, tak się stało. To rzeczywistość.

Był dzień, jak wszystkie inne dni, nie, nie taki sam, bo porucznik Basch powiedział, że w Monachjum i w Berlinie wybuchła rewolucja, że wojna się skończyła, że po czterech latach męki nie będzie już granatów, umierania w okopach, lepkiego błota, panowania gwałtu, przemocy, pięści i żelaza. Mówił, że się wszystko wali w gruzy, rozsypuje, że nadchodzi nowa era, nowe życie.

Byłem pijany, wszyscyśmy byli pijani; coś śpiewało we mnie i szumiało; wyszedłem z okopu, w głowie mi się mąciło. Nie może to być koniec, wszystko się stało zbyt nagle, czekaliśmy za długo, straciliśmy wiarę, że nadejdzie kres. A tu nagle nowe życie; skończy się leżenie w błocie, można będzie spać znowu na

białych prześcieradłach w cichym pokoju, można będzie pomyśleć o przyszłości. Przyszłość? Przyjdzie pracować, pracować odnowa, — skądże białe prześcieradła — trzeba będzie znowu lec w błoto na froncie, a generałowie, jak zwykle, na tyłach, bogacze, jak zawsze, rozpierają się w samochodach, piastują zaszczyty, obżarci, z kochankami u boku, podczas gdy reszta ginie, **podczas gdy...**

Potyając się o nierówności terenu i szczeliny, o trupy i pnie, wylazłem z okopu; noc była chłodna, księżyc świecił jasno, z okopów dochodziły dźwięki muzyki, w krwi kipiała gorączka; byłem ogromnie zmęczony, ledwie trzymałem się na nogach, ale jakiś niepokój gnał mnie wciąż naprzód, wciąż naprzód. Nagle ujrzałem na ziemi ciemną masę, o którą się omal nie przewróciłem. Chciałem ją ominąć, wrócić do okopu. Poco się tu włóczę, dlaczego nie zostałem pośród kolegów, dlaczego nie śpiewam razem z nimi, nie raduję się, co mnie ciągnie po nocy, dlaczego błądzę sam wśród połamanych wozów i gruzów sam pośród — umarłych? Uświadomiłem sobie, że to trup; wysłano go wczoraj na patrol, poszedł dwadzieścia cztery godziny przed końcem, wojna dobiegła kresu, padł o dzień wcześniej — ostatnia kula trafiła czyjaś matkę, czy nie można było skończyć o dzień wcześniej, — śmieszne to, teraz leży nieżywy, le-

karz, inteligent, na nic mu się nie przydała nauka, był feldfeblem tak samo, jak i ja, mógł zostać porucznikiem, cóż z tego, — teraz jest trupem, a ja... Dotknąłem ręką jego ciała, nie chciałem tego, przyszedłem tu zupełnie odruchowo — nie, o niczem nie wiedziałem, niczego nie pragnąłem. Drżącą ręką bładziła po brudnem ciele, lepkiem od krwi, zapaliłem lampkę kieszonkową, drobne światełko rzucało upiorny blask wśród ciemności. Spojrzało na mnie dwoje nieruchomych oczu, dwie martwe, puste źrenice błysnęły z pod opuszczonych powiek; cofnąłem się, ręka mi znów drżeć zaczęła. Trup poruszył głowę, zimne, zsiniałe usta rozchyliły się w uśmiechu. Napół przytomny wróciłem do okopów. Chwytam ręką za pierś, serce wali jak szalone, w radosnem uniesieniu dotykam małego, szarego zeszytu: to paszport, który zabrałem trupowi, jego dokument, nazwisko — i jego przeznaczenie.

Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nikt nikogo o nic nie pytał, — niech żyje rewolucja! — któżby badał papiery, kontrolował, komuż znane są nazwiska? Jesteśmy wszyscy ludźmi, braćmi, umarli, wszystko mu jedno, gnije tam w błocie, leży z błyszczącemi oczami wśród szkieletów, powoli w proch się rozpadnie...

Siedzę w pociągu pośpiesznym, oczywi-

ście w przedziale pierwszej klasy, człowiek się prędko przyzwyczaja do nowych warunków. Dziwna rzecz, nie jestem wcale podniecony. Czy to możliwe, bym stał kiedyś przed rozżarzonym piecem, bym musiał się pośród nocy zrywać z łóżka? Ciasto rośnie, twardnieje, od otwartego pieca wali straszliwy żar, skóra pęka na twarzy, mały Hennings sparzył sobie rękę i krzyczy głośno... — nie, to głupstwa, nonsensy, to nie byłem ja, to nie jestem ja, jadę przecież pociągiem, jestem człowiekiem bardzo wykształconym, bogatym, rozpieram się na czerwonych poduszkach pierwszej klasy. Żal mi tych, którzy jadą czwartą klasą, stłoczeni jak zwierzęta, jak bydło; nie mogą nawet usiąść, choć tak są zmęczeni, kolana im drżą, ale muszą stać wszyscy, wszyscy. Stać musi również mały, szczupły dragon o bladej twarzy i kruczonych włosach; przed chwilą patrzył na mnie bolesnym wzrokiem, nagle pobladł jak trup i zwalił się na podłogę wagonu. A może śniło mi się to tylko, może widziałem kiedyś podobny obraz, może to wspomnienie czegoś, co istniało, — a czego już niema?

— W Berlinie dopiero pan zobaczy — mówi łysy grubas, siedzący naprzeciw mnie na miękkich poduszkach. — Rewolucja, ktoby pomyślał! Pan jedzie do Berlina?

— Pociąg jedzie do Berlina? No tak. Właściwie chciałem... Rozumie się że do stolicy.

Rozumie się? Dlaczego pojechałem? Nie chciałem tego wcale, ale coś mnie ciągnęło. Jakże mogłem zapomnieć o matce, o siostrze, które mieszkają we Frankfurcie? Rok ich nie widziałem, dlaczegoż więc do Berlina? — Rozumie się, że do stolicy... — To takie proste, takie zrozumiałe. Uśmiechałem się, coś zmuszało mnie poprostu do uśmiechu, ale na duszy leżał dziwny, ciężki, dławiący, ciemny cień — nie chciał ustąpić.

Na korytarzu wagonu stał jakiś człowiek i przyglądał się okolicy, którąśmy mijali. Nie widziałem twarzy, ale miałem wrażenie, że znam te wąskie plecy, te ramiona, z których lewe jest nieco wyższe od prawego, tę charakterystyczną sztywność szyi. Coś zaczęło wzbierać we mnie, zrodziło się jakieś niesamowite podniecenie, jakaś bezgraniczna nienawiść, przechodząca w fizyczne mdłości. Nie mogłem odwrócić wzroku. Czy to hypnoza? Przecież jadę pierwszą klasą i nikt mnie nie zna! Dlaczegoż tak nienawidzę jakiegoś obcego człowieka, dlaczego jego szyja, plecy wywołują we mnie bez uzasadnionego powodu takie paroksyzmy nienawiści?

Plecy odwróciły się, na karku powstały fałdy, ukazał się profil twarzy: obcy człowiek. A jednak znam go skądś, krew uderza mi do głowy, jednak jest tu coś niejasnego, co wywołuje we mnie przerażenie, miałem wraże-

nie, że mnie ktoś uderzył po głowie, poczułem zamęt, chciałem wstać, odejść; tamten zauważył mnie teraz, odwrócił się, w oczach pojawiły się dzikie, ostre błyski, zdawało się, że mu białka wyskoczą z orbit, nazdrza zaczęły drżeć, zacisnął pięść, zdawało się przez chwilę, że ja podniesie, że uderzy w wąską, cienką szybę, dzielącą nasze twarze, — nagle jednym szybkim ruchem opuścił pięść, odwrócił się pogardliwie i odszedł, wzruszywszy ramionami.

Co to było? Sen? Halucynacja? Wojna nadszarpała moje nerwy, coś dziwnego, to minie, minie na pewno. Żeby tylko wrócił spokój, żeby tylko mieć znowu pracę!... Otarłem ręką pot z czoła; dziwna rzecz, rękę mam taką białą, wąską, przezroczystą, pełno na niej drobnych niebieskich żyłek, jakgdyby nie do mnie należała, jakgdyby...

— To dziwne, — pomyślałem — siedzę tu, jadę pociągiem, a mam takie niesamowite ręce!...

Pociąg wjechał na peron. Ani razu nie byłem dotychczas w stolicy, wiedziałem jednak odrazu że to Berlin, i nie zdziwiłem się wcale. Minałem peron, zeszedłem po schodach na Plac Poczdamski. Na ulicy Bellevue zbliżył się jakiś człowiek, chciał mnie minąć, przestraszył się, przystanął, uklonił się, spojrzał na mnie z radością, ujął pod ramię i zawołał:

— Człowieku, doktorze, czy to możliwe,

a więc żyjesz? Co powie Greta? Krążyły pogłoski, że ci się przytrafiło nieszczęście. Telegrafowałeś do niej? Odwiedziłem ją wczoraj, zastałem również twą matkę. Wszyscy bardzo się o ciebie niepokoiли. Ostatni twój list był tak dziwny, pisałeś o przeczuciach śmierci, — mój Boże, nie powinienes był tego robić, — a potem te pogłoski, no, ale jesteś, przyjechałeś, wróciłeś. Odprowadzę cię, oczywiście, jeżeli pozwolisz, chodź, weźmiemy samochód, dlaczego idziesz tak wolno, nikogo nie było na dworcu?

Siedzę w samochodzie, jakiś obcy mężczyzna wiezie mnie ku nieznanemu celowi. Nie mogę zebrać myśli, nic mnie nie dziwi, wszystko snuje się mechanicznie, płynę po rzece o chłodnej, srebrnej tafli, była wojna, jest pokój, żyłem zagubiony w tłumie, dziś podszedł do mnie ktoś i wsadził mnie do samochodu. Czy to nie naturalne? Wszystko jest zupełnie naturalne. Każdego raz w życiu spotyka szczęście, trzeba tylko wyciągnąć rękę, cud skończy się dopiero wtedy, gdy się stanie rzeczywistością.

Wóz skręcił w ulicę, zatrzymał się. Motor zamilkł nagle, mózg mój oplotła dziwna cisza, — wysiadam mechanicznie, przyglądam się bezmyślnie, jak nieznajomy płaci szoferowi, zaczynam patrzeć na dom, na rzędy okien, oto jedno z nich, — nagle serce mi bić przesta-

je, mam wrażenie, że ziemia się pode mną zapada, przed oczyma krążą zielone i złote koła, krążą, wirują... Widzę ciągle jej obraz w oknie. Kto to taki? Kobieta, główka dziewczęca, nad pobladałą twarzą lśniąca, złocisto-brązowe tycjanowskie włosy, rysy pełne słodyczy, lęku, tęsknoty i bezgranicznej miłości, — dla kogo to wszystko, kto tę kobietę posiada? Oddam życie, jeżeli... Nie, nie odejdę stąd, dlatego ten człowiek pcha mnie ku drzwiom, chcę tu pozostać i patrzeć ciągle w górę — — schody, cóż mam czynić, dokąd iść, dlaczego serce wali tak mocno?

Wielki Boże! Drzwi się otworzyły, drugie piętro, sześćdziesiąt dwa schody, liczyłem zupełnie bezmyślnie, stanęła w nich starsza kobieta. Ręce jej drżą, na głowie ma biały czepek. Po chwili w białem, migocącym świetle korytarza zjawia się — dziewczyna, kobieta, która stała przed chwilą u okna. Jest blada, uśmiecha się chorowicie, pokornie. Małe, blade usta drżą, lśniąca spojrzenie niebieskich oczu zatopila w moim wzroku. Smukłym ciałem wstrząsa dreszcz, oczy kryją się pod długimi, ciemnymi rzęsami. Cała postać, podobna nagle do woskowej figury, chwieje się. Omal nie runęła; doskoczyłem, padła mi w ramiona; ledwie porusza blademi wargami; uderza mnie ciepły oddech, trzymam jej ciało w drżących rękach, jak we śnie podnosi wąską rękę, doty-



ka mych włosów, jakby szukając czegoś. Zwoła podnosi powieki, w oczach lśni błękitny promień nieskończonej tkliwości, otwiera miękkie, wilgotne usta do mocnego, nierozważnego pocałunku, równocześnie po twarzy jej płyną gorące łzy.

Jak długośmy tak stali? Straciłem poczucie czasu, rzeczywistości, czułem tylko, że coś ciągnęło mnie za nogę, wracało ustawicznie, doskakiwało i cofało się; paliło mnie coś gorącego, przejmował piekący, głuchy, świdrujący ból. Nie byłbym na to zwrócił uwagi, gdyby nie jej krzyk i przerażony wyraz twarzy. Wróciły jej kolory, wyrwała ręce z mej dłoni, szeroko otwartymi oczyma zaczęła patrzeć wbok; miałem wrażenie że mi grozi okropne niebezpieczeństwo, że muszę się za wszelką cenę opamiętać, obudzić, bronić, ale byłem oszołomiony zapachem jej włosów i ciała, miałem ciągle przed sobą jej twarz; to przecież nie ja byłem tym człowiekiem, przecież mnie samego tam nie było, wszystko to sen, gra wyobraźni. Nie wolno się budzić, trzeba się zachowywać cichutko — cóżto za krzyk, dlaczego pierzchły usta, które mnie dotykały, całowały, dlaczego twarz drży, zmieniła się dziwnie, cóżto takiego mnie dopadło, cóżto mnie szarpie?!

Para psich oczu rzuca zielone płomienie, czarne, kudłate cielsko, dziki, kudłaty łeb;

białe, lśniące zęby wżarły się w ciało, płynie z niego krew, własna moja krew, kapie z nogi do pończochy. Na dywanie mała, krwawa plama; człowiek, stojący przy drzwiach krzyknął, zanurzył szeroką rękę w sierści zwierzęcia, pchnął je wtył, ale pies znowu rzuca się naprzód, nieznajomy przygniata mu pysk nogą, wreszcie pies uspokoił się, wargi mu latają, czerwony, krwawy język zwisa bezwładnie, warcząc, skrada się cicho wzdłuż ściany, nie spuszcza mnie z oczu, nie spuszcza z oczu...

— Jakże pani może, pani Greto, — słyszę skrzeczący głos z pod drzwi—a to dopiero piękne przyjęcie! Pies oszalał zupełnie, omal go nie poszarpał. Może się wściekł? Proszę spojrzeć, piana mu cieknie z pyska, patrzy na panią — jak człowiek.

— To się dotychczas nigdy nie zdarzyło, nigdy, — mówi cała drżąca. — Janku, Janku, przybyłeś tak niespodzianie, tracę rozum, zwierzę oszalało, ugryzło cię, nie rozumiem dlaczego. Dlaczego pan stoi jak wryty, trzeba sprowadzić lekarza, przecież on ocieka krwią.

— Nie jest tak źle, niech się pani uspokoi, — brzmi odpowiedź — trochę gazy, kawalek plastra wystarczy...

— Ależ tak, oczywiście.

Pobiegła, wróciła, podwinęła mi nogawkę, nie pytając, czy się zgadzam. ściągają ze mnie płaszcz, pocóż pytać, czy to nie mój dom, nie

mój pokój, nie moje mieszkanie, i nie moja — żona?! Żona! Dziewczyna o takich rękach, ustach, o takich włosach i oczach—moją żoną! Przecież to wszystko obłąd, coś się tu dzieje, to nie może trwać dłużej. Któż to taki? Jestem u obcych ludzi. Nie znam nikogo. Kimże ona jest? Jak się nazywa? Za kogo biorą mnie ci ludzie? To pomyłka. Kimże ja jestem, kim jestem?

— Musisz się teraz położyć — mówi kobieta; głos jej był jasnym promieniem wśród zwału chmur. — Nie myśl o niczem, nie opowiadaj nic, wyśpij się przedewszystkiem. Na wszystko przyjdzie czas. Wojna się skończyła, jesteś znowu przy mnie. Wszystko się dobrze skończyło, co? Ach, Janku!...

Cóż jej mam powiedzieć? Nie wiem, nie rozumiem. To zbyt wiele naraz. Jestem zmęczony. Chcę spać. Wszystko się dobrze skończyło, co? Wszystko się dobrze skończyło...

Leżę na kanapie. Noga boli. Zamknąłem oczy. Gdy tylko rozchylę nieco powieki, widzę psa. Zwinął się w kłębek, leży w kącie, warczy, podniósł pysk do góry, wciąga powietrze, patrzy wciąż ku mnie. Chce mi się spać, ale jakiś niepokój mnie ogarnia, czuję w głowie głuche uderzenia, jestem bardzo samotny. Liczę bezmyślnie żółte i czarne kwadraty tapety, potem rachuję osobno ilość czarnych, jest ich sto trzydzieści sześć, czuję, że ciało leży na

kanapie, siedzę sam w swem ciele i czuję, że ono leży, że ręce trzymam na kółdrze, że ciało dotyka miękkiej tkaniny, że mózg pływa w czaszce, a na mięśniach pełno białych nerwów i ciemnych żył. Kim jestem? Kim jestem?

Mechanicznie kieruję rękę ku piersi. Coś szeleści. W lewej kieszeni, nad lewą piersią, jakiś garb, jakieś fałdy. Nagle serce zaczyna mi walić jak młotem, jakaś sprężyna rozpręża się w mózgu, wydaje mi się, że ktoś ostrem pchnięciem wydrążył kawał muru: paszport!

Jakże można było zapomnieć? Gdzież byłem. Mgła, potworna dwoistość! W kieszeni leży paszport obcego człowieka. Cóż z tego, że go ukradłem. Cóżto szkodzi bezbronnemu trupowi? Nie zubożał, a ja się zbogaciłem. Czem jest nazwisko? Czy nie dosyć wycierpiałem pod brzemieniem swojego? „Prześcieradło, Wilhelm Prześcieradło!“ Czy wolno tak nazywać człowieka? W szkole podczas pauzy kiedy gromadzili się dookoła, ciągnęli mnie za spodnie, za marynarkę, za koszulę — „Prześcieradło, Prześcieradło, okryj się sam sobą! Czy dobrze spałeś? Chodź, wytrzepiemy cię, taki brudny jesteś!“

Prześcieradło! Jaki ojciec, jaki przodek nosił spokojnie to nazwisko? Dziwna rzecz, że się niem nie udławił, że nie krzyczał, nie protestował, że się nie wyzwolił z pod jarzma.

Człowiek musi mieć nazwisko, trudna rada, to nie od niego zależy. — „Jak się pan nazywa?“ — „Prześcieradło“. — Śmieją się. Kto się śmieje? Wszyscy, cały świat wykrzywia usta w uśmiechu. Jakże można takiego człowieka traktować poważnie? Jakże można darzyć go zaufaniem, dać mu urząd, pracę, stanowisko? Czyż nie byłbym już dziś majstrem? Nikt mnie nie chciał przyjąć do nauki, a gdy się wreszcie znalazł jeden chętny, musiałem zawsze ustępować przed innymi, którzy mniej ode mnie umieli. Tak, ciągle musiałem ustępować. Oto sala tańca, oto jasna Elżbietka. Patrzy na mnie czule niebieskimi oczyma, miękkim ruchem przegina szyję w tańcu, małe loczki dotykają miłośnie i czule mego prawego policzka. Odprowadzam zmęczoną i zziąjaną dziewczynę na miejsce. Oto jej matka. — „Prześcieradło“ — powiadam i składam głęboki ukłon. — „Wilhelm Prześcieradło“. — Elżbieta czerwienieje, zaciska małe, ciemne wargi, czuję, że tłumy chichot. Chichot ten otacza mnie ciągle, zabija wszystko, odbiera blask wszystkiemu, co lśni, zamraża wszystko, co ciepłe. Jestem zupełnie sam.

Nazwisko, jedno słowo: cóżto ma wspólnego ze mną? Czemże jest człowiek i jego nazwisko? Czy można wogóle dawać człowiekowi nazwę, jak rzeczy, czy można określać nazwą stworzenie, które się ciągle zmienia, które

jest ustawicznie różne? Wrzekomo wolny człowiek, żyje od urodzenia w jakiejś sieci, ostemplowany, opieczętowany! Choć byłem silny, chodziłem zawsze skulony, choć byłem odważny, pracowity, musiałem żyć jak zwierzę w klatce; teraz wyszedłem poza siebie, jestem kimś innym, mam inne nazwisko, jestem innym człowiekiem; to takie proste, wystarczy zmienić ubiór. Nazwiska tworzą ludzi; oto jestem doktorem, doktorem Janem Sternem, tak, człowiekiem wykształconym, bogatym. Każda troska musi mieć swój koniec, czemuż jest trup, zabrałem poprostu jego los szczęśliwy!

Z kąta podniósł się pies, zaczyna krążyć po pokoju, pochylił głowę, w oczach lśnią zielone blaski. Ilekroć okrąży pokój, staje przy końcu kanapy, unosi się nieco, kładzie łapy na ciężkim dywanie, wyciąga głowę i zaczyna skomleć. Skomlenie to przechodzi w długie, dręczące wycie.

Czego chce to zwierzę? Wszyscy odnoszą się do mnie serdecznie, kochają mnie, obcy ludzie wsadzają mnie do samochodu, obce ramiona oplatają mój kark, obce, drżące ręce głaszczą me policzki. Tylko to zwierzę się złości, nienawidzi mnie, gryzie po nogach, patrzy na mnie dziko, wyzywająco, jak zaciekle, czujny wróg.

Trzeba go ułagodzić, to poczciwy pies.

Przecież zawsze spokojny, dlaczegożby teraz?... Trzeba go pogłaskać. — Nero, chodź tu! — Skąd znam to imię? Podchodzi, nasłuchuje, fałdy nad oczyma zaczynają dziwnie drżeć, podnosi głowę, macha ogonem, zaczyna kręcić się wkoło, nagle wskakuje na kanapę. Przerażony, chce się podnieść, ale łeb psa tkwi już obok mojej głowy, pies dotyka miękka, wilgotną mordą mego policzka, zaczyna lizać uszy, policzki, brodę i ręce. Szaleje poprostu, nie panuje nad sobą, skomlenie przechodzi w ostre, gwałtowne szczekanie. Zeskoczył z kanapy, znowu wraca, jak wściekły kręci się wkoło, padł na podłogę, po chwili podbiega do stołu, do szafy, do okna, drży cały jak w febrze; znowu jest obok, wciąga powietrze, obwąchuje mój bucik, węszy wzdłuż spodni, dotknął bandaża. Szczekanie ustaje nagle, znowu skomle żałośnie, straszliwie, rozłożył się na zimnej posadzce. Język mu zwisa, nozdrza ma purpurowe, piana leje się z pyska.

— Nero! — wołam zupełnie obcym głosem, unoszę się z kanapy, chcę go pogłaskać, chcę położyć rękę na jego grzbiecie — nagle zawisłem nieruchomo, widzę psa w lustrze, widzę poszczególne przedmioty: krzesło, stół, na nim książki, popielniczkę, lampę, psa, leżącego na podłodze, — obok zaś obcego człowieka. Ciemne włosy, głowa, pochylona nad sierścią psa, ręka... Patrzę w osłupieniu, tamten rów-

niez podniósł twarz, dwoje oczu wpatruje się we mnie nieruchomo, w przerażeniu wypuszczam psa z rąk, tamten czyni to samo. Co to jest? Wszystko wiruje mi w głowie, tamten błednie również, zrywa się wraz ze mną, biegnie do lustra, oglądam się, szukam, on czyni to samo. W pokoju niema prócz mnie nikogo, nikogo, jestem zupełnie sam, tylko ten obraz w lustrze. Przecież to ja — tak, na pewno. Jestem zupełnie sam, samotny, potwornie samotny, chwytam się za ciało, dotykam ręką ramion, twarzy, drugiej ręki. Ja, ja, ja! Tamten jest mną, ja jestem tamtym, trupem, który ożył, mam twarz, ciało, mięśnie, кишки, mózg i duszę tamtego! Nie jestem sobą? To już nie moje? A więc to, co patrzy z moich oczu, czego dotykam ręką, nie jest moje? A więc myśli, własne myśli, — nie są już mojami?!

Z przerażenia nie jestem w stanie odechnąć, staram się zebrać myśli. Mam wrażenie, że wszystko zamarło. Pod czaszką lodowa cisza, z lustra patrzy nieruchoma, przerażona, marmurowo blada twarz. Nagle coś w niej drgnęło, stanęła cała w płomieniach; jak przed chwilą, ręka błędzi znowu mechanicznie po bocznej kieszeni marynarki. Teraz wszystko staje się jasne: paszport, zawierający nazwisko, pociągnął za sobą tamtego, twarz i nazwisko łączy mistyczny związek; jestem tamtym, muszę przeżyć do końca jego

śmierć i życie. Leży tam w miękkiej, błotnistej ziemi, wchodzę w jego życie jak w ramię, ale wiem wszystko; stoję na uboczu jak widz, mimo wszystko jestem sobą i przyglądam się sobie, który jest tamtym i równocześnie sobą, jak człowiek, ukryty za swym portretem.

Otulił mnie spokój i dziwna cisza. Pusto, nie boję się już, może to zbyt wiele naraz, jestem zmęczony, nie powinno się przekraczać pewnych granic, człowiek nigdy nie może ogarnąć i określić danej chwili, są zjawiska, które spostrzegamy dopiero przez pryzmat przeszłości; to dobrze, inaczej dusza pękałaby i rozsypała się. Czuje, że istnieje jakaś ochrona, jakiś wał przeciw sobie samemu, przeciw obłędowi i szałowi. Wszystko w porządku, przeszłość skreślona, wojna się skończyła, skończyła się praca, nie pamiętam nawet, jak było dotychczas, to zresztą wszystko jedno, jestem nowym człowiekiem, rozpoczynam nowe życie, mam nową przyszłość. Szczęście jest tam za drzwiami, tam za drzwiami...

Drzwi się otwierają, przez szparę wychyla się wolno, ostrożnie czyjaś głowa, miedziane włosy lśnią w słońcu, biała ręka leży na klamce, wielkie, niebieskie, zatrwożone oczy patrzą badawczo. Jest już obok mnie, owiewa mnie jej oddech — nie, nie, nie!

— Co ci jest, dlaczego tak dziwnie wyglądasz, dlaczego się cofasz?

— Nic, drobnostka bez znaczenia, nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że teraz ty tu jesteś, byłem tak długo sam w okopach, żyłem wyłącznie wśród mężczyzn, wśród ustawicznego gwaru, co chwila przychodził jakiś rozkaz, ciągle trzeba się było gotować na śmierć — i nagle ma się kogoś obok siebie; w dodatku kobietę piękną, uroczą...

— Głuptasie, zawstydzasz mnie, — odpowiada, kryjąc twarz w dłoniach.

Powiedzieć! Czyż nie mam obowiązku powiedzieć?!

— Przypatrz mi się, popatrz na moje włosy, na twarz, przecież to wszystko...

Nie mogę mówić, otoczyła mnie ramieniem, oparła się o mnie, jestem zupełnie bezbronny, czyż moja to wina, że osłabł, że ją kocham, że ją pokochał od pierwszej chwili, że nie miałem siły wyznać, iż właściwie nie jestem sobą, że całowała innego, innego kochała, innego, innego!

— Chodź, spałeś tak długo. Oddawna czekamy przy nakrytym stole, jedzenie wystygło, matka czeka również, przyszła, nie mogłam utrzymać języka, powiedziałam jej, że wróciłeś. Oprócz niej niema nikogo, wypocznij na przód, jutro oczywiście trudno będzie zabronić przyjaciołom odwiedzin. Bobby przysłał trzy razy lokaja, — to bardzo ładnie, że cię zabrał do samochodu i przywiózł, — Bussy San-

dor przysłała olbrzymi bukiet bzu i list w li-
lowej kopercie, nie gniewaj się, że mówię tak
bezladnie, wyobraź sobie, Sven Borges wrócił
dziś również z podróży, nie widziałam go
przez cały czas; raz, podczas urlopu, zach-
wał się wobec mnie bardzo natrętnie, później
ci to opowiem. Nagle, przed pół godziną, gdyś
leżał obok w pokoju, słyszę dzwonek telefo-
niczny. Biorę słuchawkę: Sven Borges. Dziw-
ne, co? Z pewnością przyjechał tym samym
pociągami, co ty.

Plecy, krzywe ramiona, czy to możliwe?
A jednak, to z pewnością on! Znowu otaczać
mnie zaczyna jakaś mglista ciemność, Sven
Borges! Czuję znów szybę szklaną przed ocz-
mi, należy ją rozbić, ale nie mogę, nie mogę...

Wypadki płyną z błyskawiczną szybko-
ścią, niema czasu na refleksję, mam wrażenie,
że stoję nad książką z obrazkami. Co chwila
nowa strona, nowa niespodzianka. Przecież to
moje własne życie: oto jestem w jadalni, stół
nakryty delikatnym, białym adamaszkiem. Kry-
ształ, zielone i czerwone kielichy, wśród nich
kwiaty, małe fioletowe fijołki, pośrodku wiel-
ki, wysoki wazon napełniony lśnąciami, roz-
kwitłymi różami, z jednej i drugiej strony
dwa świeczniki o dziewięciu białych świecach.
Nastrój uroczysty, Greta trzyma mnie za rę-
kę jak dziecko; przypominają mi się urodziny,
matka prowadziła mnie za rękę, nie mogłem

doczekać się niespodzianek i podarunków... Oto stoi stara, zgarbiona kobieta, resztki siwych włosów, uczesanych bezładnie, okalają stare, zmarszczone czoło, przez wąskie, zaciśnięte wargi przechodzi drżenie, szare, spokojne oczy spoglądają ze zdumieniem z pod złotych okularów. Opierając się całym ciężarem na lasce, podchodzi wolnym krokiem, okulary obsunęły się ze śpiczastego nosa, laska upada z hałasem na podłogę. Drobne, zasuszone ramiona otaczają mą szyję, starczem ciałem wstrząsają łkania, staruszka płacze ze szczęścia i z radości.

— Matko...

Nie wiem, dlaczego mam oczy pełne łez. To moja matka! Ogarnia mnie tęsknota, bezkresny ból, chciałbym jej paść do nóg, ale coś mnie wstrzymuje, dusi za gardło.

Siedzimy przy stole, światła migocą, mówimy niewiele, stara służąca roznosi potrawy, jemy na białych, przezroczystych talerzach z porcelany, ozdobionych znakiem smoka; naprzeciw, na ścianie, wisi portret, to z pewnością Greta; obok niej jakiś młodzieniec w mundurze. Zauważyła me spojrzenie, patrzy również w kierunku portretu, uśmiecha się, dotyka ręką mej ręki, cofa ją po chwili i, odrzuciwszy wtył głowę, mówi:

— W ubraniu cywilnem wyglądasz właściwie nieco niedbale. Pamiętasz, jakieśmy

wtedy poszli po raz pierwszy do fotografa? Rodzice nie wiedzieli o naszych zaręczynach, taka byłam dumna z twego munduru! Odbywałeś służbę wojskową, przed pójściem do fotografa zaczesaleś elegancko czarne wąsy; na szczęście, nie nosisz już tej czarnej szczotki, przynajmniej jedna dobra strona wojny, to tak łaskocze; wyglądałeś, jak typowa piękność z pocztówki, podobało mi się to wtedy, popatrz tylko... — zrywa się, wraca z portretem, śmieje się wesoło: — Miałeś okrągłe oczy, jak lalka marcepanowa. Pamiętasz srebrne sznury? Jeden oberwał się przy pożegnaniu, śpieszyłeś się, było późno, chciałeś mnie jeszcze raz pocałować, zaczepiłeś sznurem o poręcz krzesła, przerażona, naprędce zeszyłam sznur, ale feldfebel zauważył i zapytał, co się stało. Nie zdradziłeś się, wolałeś areszt, ty mój mały żołnierzyku z blachy, nie zapomniałam tej nazwy! Tymczasem żołnierzyk wyrósł na prawdziwego żołnierza, ma już dosyć tego, i ja mam dosyć, choć żołnierzyk w cywilnem ubraniu gorzej wygląda... Tak, dosyć już mam tego...

Zasepiła się, zamyśliła, oparła delikatne, wąskie palce o srebrną podstawkę na noże i widelce; zwracam ku niej głowę, widzę jej profil, biały kark pochylony nad portretem tworzy miękką, wzruszającą linię; nagle posmutniała. Usta nabrały bolesnego, dziwnie

zmęczonego i ponurego wyrazu. Mówi szep-tem:

— Część życia minęła, wojna ją zabrała, oszukano nas. W małżeństwie powinno się żyć wspólnem życiem, inaczej wszystko nie ma sensu! Ileż razy, siedząc przy tym stole, tęskniłam, myślałam o tem, co tam robisz daleko na froncie? Zapewne jesteś w okopach, rozmawiasz z kolegami, pijesz, może trzymasz w ręku mą podobiznę i opowiadasz o niej kolegom. Czy myśli twoje są w tym pokoju, czy gdzie indziej? Może jesteś myślami u nieprzyjaciela, badasz jego pozycję, może dowódca jest u ciebie, może atak ma się zacząć za chwilę... Ja tu siedzę, nie mogę się ruszyć, jestem bezsilna i ślepa, a tymczasem tam latają kule, chlupie krew, odpadają ręce i nogi. Temu wypłynęły nawierzch kiszki, tamtemu wyprysnął mózg, przed chwilą dopiero z nim rozmawiałeś. Strasznie chwilami bywało siedzieć obok matki, nie mówiącej ani słowa... Czasami myślałam o tem, że nie wiem nawet, czy jeszcze żyjesz. Może leżysz już w ziemi, może zmieniłeś się już w zbitą masę mięsa... Zdawało mi się wtedy, że jestem żoną trupa, i nie wiem nawet o tem. Chciałam krzyczeć. Życie, własne życie! Człowiek siedzi tu, ciało siedzi na krześle, potem koniec. Nawiedzały mnie potworne dreszcze, dygotałam w febrycznej gorączce, czasami siedziałam tak całe godzi-

ny, nie miałam siły się podnieść. W nocy nie mogłam zasnąć, zdawało mi się, że leżysz obok na białem prześcieradle, że czoło masz zupełnie białe. Widziałam cię napół we śnie, napół w obłądnej wizji, miałeś krew we włosach, czas przygniatał mnie, jak lalka, tak, czas, w którym ty żyłeś, w którym ja żyłam. Lalka była dziwnie sztywna, leżała na mej piersi wyprostowana, ssła ją ustawicznie, dusiłam się...

— Greto, Greto, dzieciaku...

Po raz pierwszy wypowiedziałem jej imię, nie dziwi mnie to wcale, wziąłem jej rękę i trzymam w swej dłoni, jest zupełnie zimna i drży, pobladła, gładzę jej włosy, nie myślę o niczem, pierś jej faluje, po policzku płynie wolno gorąca łza, wstaję, obejmuję ją, zcałowuję łzę, głuche, rozpaczliwe łkanie wstrząsa jej ciałem, nie wypuszczam jej z objęć. Powoli uspokaja się, zaczyna się uśmiechać, wyrывa się z mych objęć, wyciąga białą chusteczkę, energicznym ruchem wyciera załzawione oczy. Usiadła znów przy stole, pewnym ruchem bierze na widelec kawałek mięsa, kraje, macza w sosie i, podnosząc do ust, mówi:

— Tak, teraz to jest rzeczą najważniejszą. Jestem głupia histeryczka, nie mówmy już o tem, dobrze?

Nie mówimy o tem więcej. Ale Greta jest blada, choć usta się uśmiechają, choć mówi bez przerwy i żartuje, czuję, że istota jej

nie bierze w tem udziału, że tylko usta się śmieją. W ogromnych oczach czai się powaga i przerażenie, za białym czołem leży drobna, chora duszyczka i krwawi z tysiąca ran.

Kolacja skończona, wstajemy, stara służąca zabiera talerze do kuchni. Matka, która przez cały czas siedziała jak niema, od czasu do czasu mrucząc coś półgłosem, bierze laskę, kusztyka dokoła stołu; podeszła do mnie, oparła się na mem ramieniu i z miną niemal triumfującą wskazuje na lewe drzwi. Patrząc na Gretę pytającym wzrokiem, na twarzy jej wykwita słodki uśmiech madonny, na policzki wystąpiły delikatne rumieńce szczęścia.

— Leży tam i śpi,—promienieje—możesz go obudzić, przecież niecodziennie ojciec wraca z frontu!

Boże, rozpięty na krzyżu za grzechy świata! Fala porwała mnie, niesie, i nie puszcza. Niema powrotu, nie można niczego cofnąć, brzeg niknie. Pędzę w sam środek zawrotnego morza — płomienie stają przed oczami!

Mały śnieżno-biały pokój, ściany niebiesko-różowe, białe kołdry. Okna otwarte, wiatr kołysze białemi firankami, na wyplataniem krzesła pełno okrągłych plam słonecznych. Zupełna cisza mnie otacza, słyszę własny oddech, obydwie kobiety są w pokoju,

w kącie stoi małe łóżeczko z białą lakierowanego drzewa, na niem białe poduszki. Greta pochyła się nad ramą łóżka, drzewo wpiło się w jej łono, uniosła suknie wgórę, widzę pantoflę, pończochy, dwie okrągłe łydki. Greta oddycha głęboko, w rękach trzyma coś, co wykonywa drobne, zaspane ruchy, co się pręży, budzi, nabiera sił i zrzuca wkońcu koldrę z podniesionych w kierunku sufitu nózek. Delikatne, drobne, nagie, czerwone ciało pręży się w jej ramionach, wierzga zawzięcie, dziecko zacisnęło boleśnie piąstki, zamknęło mocno powieki. Greta stoi obok mnie, trzyma dziecko jak monstrancję, podaje. Patrzę na nie, nie mam odwagi ruszyć się z miejsca.

— Twój chłopak, — powiada — podobny do ciebie, prawda, czarne włoski i mały, okrągły nos; w biurku leżą jeszcze twoje fotografie z dziecinnych lat, nosisz krótkie spodnie, wyglądasz rozkosznie i wesoło; popatrz, i on się śmieje, małe rączki wyciągają się do ciebie, tak, tak, tata wrócił, powiedz: ta-ta, ta-ta! — Widzisz, rozszerzył usta — ta-ta — słyszysz? Pierwsze jego słowo! Jakże często mu je powtarzałam! Nareszcie zrozumiał, wymawia je dziś po raz pierwszy; ta-ta, ta-ta, kochanie moje, złoto!

Słyszę za drzwiami szmer, głucho mruczenie. Klamka niezgrabnie naciśnięta opadła

raz i drugi; nagle w pokoju zjawia się pies... W kilku wielkich, dzikich susach doskakuje do mnie, podniósł obydwie łapy ku dziecku, omal nie wypuszczam go z rąk; Greta wyrывa mi dzieciaka, pies uspakaja się nieco, popatrzył na mnie wielkimi, czerwonymi oczyma, warcząc nieprzytomnie, przebiegł raz jeszcze cały pokój; wreszcie zbliża się do żony, skomląc, ociera się o jej kolana, macha pokornie ogonem, wysunął czerwony język, zwrócił ku niej krzaczastą głowę, patrzy, jakgdyby żebrał o coś, dotyka ramienia, na którem Greta trzyma dziecko, zaczyna gorączkowo lizać jego rączki, nóżki i całe gołe ciało.

— Nero! Oszalałeś? Co ci się stało? Nie wiele brakowało, a byłby upadł na podłogę.

— Zabierz psa, — mówię głuchym głosem — nie mogę na niego patrzeć.

Wychodzę, wracam do swego pokoju. Czuje się bardzo niedobrze. Zwierzę wytrąciło mnie z równowagi. Nienawidzę go. Będzie mnie prześladował we śnie. Ten pies jest jak człowiek. Czegoż chce ode mnie? Dlaczego interesuje się całą sprawą? Śmieszne, przecież to tylko gra wyobraźni! Nerwy mam zupełnie postrzępione. Przekłeta wojna! Ale teraz wszystko dobrze, mam — żonę, mam — dziecko, dlaczegóżby nie? Zabierając paszport, nie chciałem tego, nie myślałem o tem, chciałem się tylko wydostać z błota. Teraz pragnę roz-

począć nowe życie, nie jestem proletarjuszem, zmieniłem się w wytwornego pana, stałem się nim, nie zrobię nikomu zawodu; będzie ze mnie zadowolona, gdybym nie wrócił, nie miałaby nikogo, dziecko napróżno mówiłoby: „tata“! Tak pięknie się uśmiecha, takie ma małe czerwone nóżki! Cóż mnie obchodzi pies, niech się ma na baczości, nie oddam, nie zwrócę niczego, jestem tu, będę bronić zębami swego dziecka, swej żony — Greta! To okropne! Oszukuję ją, nigdy w życiu nie spotkałem podobnej kobiety, oszukuję ją z sobą samym, to potworne, ale kocham ją, kocham, to przyszło tak szybko, tak niespodziewanie; gdy o niej myślę, ból rozsadza mi piersi. Te włosy, usta, te oczy, to pochylenie nad dzieckiem! Co ja robię, co ja robię?

Pukanie. To ona. Jakże mogłem zostawić ją, odejść do pokoju? Tak postępuje proletarjusz, człowiek wykształcony zachowuje się inaczej. Dlaczego boję się otworzyć? Czy dlatego, że ją kocham? Czy jestem złodziejem? Oszaleję, oszaleję!

— Przebacz mi, — mówi — nie gniewaj się na głupiego Nera. Czy mogłam przewidywać? Może naprawdę lepiej będzie, jeżeli połączysz jeszcze chwilę i odpoczniesz; odzwyczaiłeś się od widoku ludzi. Ale pozwól mi zostać przy tobie. Zamykasz oczy? Będę się zachowywać zupełnie cichutko, pozwól tylko patrzeć na ciebie, tylko patrzeć, dobrze?

— Połóż rękę na mojem czole — mówię ci-
cho i zamykam oczy.

— Jak dobrze, jak dobrze! Jesteś teraz
mojem drugim dzieckiem! Nigdy już nie wy-
puszczę cię ze swych ramion!

Jak długo tak leżę? Położyła mi rękę na
czole, ciągle czuję tę delikatną dłoń. Jestem
jej dzieckiem, znalazłem schronienie, burza
rzuciła mnie w te ręce, tak dobrze, tak dobrze!

Czy śpię? Chciałbym mówić, gdyby moż-
na było powiedzieć wszystko tej wąskiej, ci-
chej ręce, która z bezgranicznem zaufaniem
spoczywa na mojej twarzy! Nigdy nie znaj-
dę w sobie siły, aby przemówić, tajemnica za-
tyka mi usta, jak barjera, mąci wesołość, ra-
dność, zaciemnia blask życia. Właśnie dlatego
uczyniłem to, właśnie dlatego! Chcę żyć, chce
mieć prawo do całowania tej ręki, chcę do-
tykać ustami wąskich palców, małych, gład-
kich, różowych paznokci.

— Co robisz? — mówi zmieszana. —
Przecież miałeś spać!

— Śpię. Wszystko jest tylko snem, Greto,
ale to obojętne, nie wolno zastanawiać się,
czy to rzeczywistość. Jesteś szczęśliwa, praw-
da? Szczęśliwa, tak samo, jak i ja, kochasz
mnie, jesteśmy razem, trzymam twe palce,
twa rękę, reszta to upiory, demony, które
ciągną w przepaść, lecz ty jesteś światłem, ty

czynisz mnie dobrym, wszystko opada ze mnie, będę serdeczny i dobry, nic mi nie stanie na przeszkodzie, jesteś moją żoną, mem zbawieniem. Kocham cię, kocham, Greto!

Dotyka ustami mych ust, całuję ją w czoło, w piersi, w szyję, w oczy, piersi jej falują, szeroko otwarte oczy pociemniały, nabrały łagodnego, miękkiego wyrazu, ręce opadają bezwładnie. Leżymy oboje na kanapie, czuję na twarzy jej gorący, podniecony oddech, czuję drżenie jej ciała — nagle słysząc za drzwiami głosy, słowa. Musiałem kiedyś słyszeć ten szmer, odczuwam go jak ukłucie, nie chcę o niczem wiedzieć, nic mnie nie obchodzi, trzymam ją w ramionach, świat się tutaj kończy, nie chcę wiedzieć o niczem...

Ktoś puka nieśmiało, stara służąca zawiadamia:

— Przyszedł pan Sven Borges. Chciałby złożyć państwu uszanowanie.

Podniosła się. Zapadł wieczór, w oknie stoi szary mrok, nie widzę już jej oczu, pochyliła czoło, miękki podbródek odcina się na tle mroku ostrą, czarną linią.

— Nie przyjmujemy go—odpowiada wreszcie po długim milczeniu. Głos ma głuchy gardlany dźwięk, napięła ciało jak łuk.

— Kocha cię?

— Nie wiem. Może nienawidzi. Ale nic mnie to nie obchodzi. Nie znoszę go.

Nagle odwraca się i mówi dalej:

— Był tu podczas urlopu, przed pół rokiem, później znowu przed trzema miesiącami, przywiózł pozdrowienia od ciebie. Pamiętam, zjawił się po południu, usiadł w fotelu naprzeciw mnie, zatopił wzrok w moim wzroku, oczy miał szare, okrągłe jak kule, nie mogłam się wyzwolić z jego spojrzenia, patrzył na mnie jak szczur. Widział cię, był razem z tobą na froncie; uszczęśliwiona, że mogę się czegoś dowiedzieć o tobie, zaprosiłam go na kolację. Cóż w tem dziwnego, był przecież twoim przyjacielem. Leżałeś daleko w okopach, on zbliżał mnie do ciebie; przecież widział twoją twarz, słyszał twe słowa, był świadkiem twego śmiechu, twych ruchów, byłam pewną, że zostawi to na nim jakiś refleks, że wchłonał w siebie coś z ciebie. Czułam, że nie jestem już sama, słuchałam słów, nie zastanawiając się nad ich treścią, myślałam o tem, żeś niedawno słyszał jego głos! Miałam wrażenie, że idę przez most, że się unoszę nad nieskończenie szerokim prądem czasu, nad tysiącami mil, które nas dzieliły; byłam razem z tobą, widziałam cię przed sobą, wszystko wróciło.

„Nie zrozumiał mnie. Był przekonany, że jest przyczyną mej wesołości, radości i zadowolenia. Ujął mnie za rękę, nie rozumiałam, co to ma znaczyć, nagle znalazły się na nich jego usta, zaczął obsypywać pocałunkami mo-

je ramiona. Cofnęłam się, spojrzałam nań z przerażeniem, zaczął machać rękami i bełkotać coś niezrozumiale. Trwało to kilka sekund; opanował się, na ustach pojawił się zły uśmiech, oczy nabrały tępego blasku; uklonił się i wyszedł.

— A drugi raz?...

— Po trzech miesiącach zjawił się znowu. Dlaczego otrzymywał takie częste urlopy, dlaczego tobie ich nie dawano? Czułam żal do ciebie, byłam urażona. Czyżbyś mnie mniej kochał, aniżeli on? Może zresztą było mi go żal, może powodowała mną ciekawość i próżność, może fakt, że był razem z tobą, nie wiem... Tak, czy inaczej, przyjął go. Postarzał się, na czole zjawiły się dziwne zmarszczki, lewe ramię było wyższe od prawego, twarz miała kolor popiołu.

— „Czy wojna się prędko skończy ? — zapytałam.

— „Nie życzę pani tego — odpowiedział pustym, jakby wydrażonym głosem. Wykrzywił wargi, miałam wrażenie, że go wcale nie ma w pokoju, że go wogóle nie ma, że zajęty jest zupełnie czemś innem. Zapytałam o ciebie, dał mi wymijającą odpowiedź, położyłam rękę na jego dłoni — spojrzał na mnie jak raniony zwierz, w oczach pojawiły się zielone błyski, podniósł zmarszczone, marmurowe czoło i nagle zawołał:

— „Nie opuszczę cię, nie spocznę prędeż,
zanim nie dowiem się całej prawdy, jestem na
jego tropie, jestem na jego tropie!

— Co to znaczy? Jak, kiedy? Zwarjował
chyba?!

— Byłam tego samego zdania. Zbielałe
wargi drżały nerwowo, zgiął plecy w pałąk;
nie mogłam wydobyć ani słowa, nie miałam
siły, by coś zapytać, coś odpowiedzieć. Miałam
wrażenie, że się nie spodziewał odpowiedzi.
Doszedłszy do drzwi, odwrócił się; podniece-
nie i napięcie ustąpiło, twarz nabrała wyrazu
ospałego, bolesnego, godnego politowania.

— „Niech mi pani wybaczy, — szepnął,
tłumiąc łkanie, — niech mi pani wybaczy!
Wszystko, co powiedziałem, wszystko, co uczy-
nię, jest silniejsze ode mnie, doprowadzi mnie
do grobu. Ale i on umrze od tego, i to przede
mną, przede mną!

— To także...

— Nie wpuszczaj go, boję się!

— Czego? To takie śmieszne!

Mówiłem tonem bardzo śmiałym, krew
pulsowała mi w skroniach, wstałem, staną-
łem obok niej. Coś wyłazi naprzeciw, trzeba
się z tem czemś spotkać. O jakim tropie ten
człowiek mówił, cóż on wie, któż wogóle
o tem wiedzieć może? Gdyby nawet tak było,
poradzę sobie, jestem przecież tamtym — ani
mnie, ani Grecie nic się stać nie może. Na

moim tropie? To niemożliwe. Nigdy. — Czyż mogłem przypuszczać, że nie o to chodziło, że istniał zupełnie inny ślad, coś zupełnie innego, o czym nie miałem pojęcia?...

Objąłem ją ramieniem, czułem się teraz zupełnie bezpieczny, mam jakieś zadanie, ponoszę za coś odpowiedzialność, muszę ją ochraniać, jest bezbronna i słaba, oddaje się pod moją opiekę, jestem jej mężem, niema upiórów, po mojej stronie prawo, los jej w mojem ręku, jest w opresji, mam prawo ją ratować.

Ogarnia mnie poczucie szczęścia, serce rozpiera duma, doznaję nieznanego dotąd uczucia siły, teraz nie ja do niej wyciągam ramiona, a ona do mnie, teraz ona jest słabością, a ja siłą; któż się odważy zachwiać moje szczęście?

Raz jeszcze zatrzymuje się na progu, zarzuca mi ramiona na szyję, przywarła do mnie drżącym ciałem i szepcze: — Nie chodź, nie chodź! — Jakiś upór powstaje we mnie, ogarnia mnie niemal gniew, nigdy nie doznawałem podobnego uczucia. Opiera się, może kocha tamtego, co? Mógłbym teraz podnieść na nią rękę, uderzyć ją po białych policzkach, po białych, przezroczystych policzkach, mógłbym bić do krwi jej miękkie, okrągłe kark... Jest moim tworem, żyje we mnie, przeze mnie, jestem jej mężem, władcą, jak śmie patrzeć na innego? Opór, opór? Jak śmie?!

— Dlaczego oczy twoje nabrały takiego dziwnego wyrazu? — pyta. Zbliżyła twarz do mojej, patrzy na mnie, słaba, bezbronna. — Byłam pewna, że to dawno minęło, że w polu zapomniałeś o wszystkim?

Zapomniałem? O czym?

Patrzę, nie rozumiem siebie samego, skądże się to wzięło? Uderzyć? Tę twarz? To ciało? To stworzenie, które mi darowano, które powierzono mej pieczy? Greto, Greto!

— Już nigdy, prawda? Należę do ciebie, tylko do ciebie, na zawsze. Przez całe te lata tęskniłam tylko za tobą, moja nadzieja, mój lęk, moja rozpacz biegła wyłącznie ku tobie. Ty, ciągle ty, tylko ty byłeś jedyną miłością, jedynym życiem!

Całuję ją w czoło, w usta, w oczy, uśmiecha się, pokorna i szczęśliwa; chciałbym paść do jej nóg, całować je, całować zgrabne, jędrne ciało. Jak cudnie pochylała się nad dzieckiem, które wyszło z jej łona, nad moim dzieckiem!... Kocham w niej wszystko, każdą rzęsę, każdy włos; położyła głowę na mej piersi, gładzę ręką jej włosy, wstaje, uśmiecha się, nic złego stać się już nie może. Mówi sama: — chodź! — Idziemy ramię w ramię.

W sąsiednim pokoju pali się światło elektryczne, nad oknami firanki, pośrodku stół; dookoła niego sześć pustych krzeseł; na lewo szerokie, ciemne biurko, na niem masywny,

czworokątny biały kałamarz, podobny do grobowca, obok otwarta książka. Jaka jej treść, kto ją czytał, może ja sam? Moje biurko! Nagle uświadamiam sobie wszystko: siedziałem tutaj, pracowałem. Co to? Okrągłe krzesło z wyplataniem siedzeniem — można je obracać, ciągle dokoła, chciałbym usiąść na niem, albo dotknąć go przynajmniej ręką, niech się kręci dokoła; gdyby tak umieszczona pośrodku srebrna, cienka podstawa śruby urosła w komiczny sposób i zmieniła się w szeroką, płaską głowę na cienkiej szyi!... Oto ostatni zakręt, drewniana głowa spada z hałasem, szyja wykrzywia się; nasadzam ją znowu i znowu wiruje pokrzywiona i pozornie pijana, wreszcie nie ma już siły, drzewo zaczyna jęczeć, śruba wżera się w ciało krzesła.... Na lewo od drzwi stoi Sven Borges. Wyprostował się, ramię mu drży, jest spokojne i równe, patrzy na Gretę, podchodzi, składa ukłon, uśmiecha się konwencjonalnie, całuje jej rękę, podchodzi do mnie, brutalnym ruchem ściska mi dłoń. Ma rękę jak głaz, który zgniata wszystko, co się w jego uścisku zabłąka. Chwytam ją, jak kawał żelaza, powstaje walka między naszymi dłońmi.

— Skończcie już z tym uściskiem — mówi Greta tonem nieco ochrypłym; mimo uśmiechu ma na twarzy wyraz udręki. — Cieszę się, że pan złożył pierwszą wizytę Jankowi i mnie.

Obydwaj powróciliście cało, wojna skończona, pańskie złe przeczucia rozwiały się!...

Udaje pogodną i beztroską. Niema już dusznej, przysgniatającej atmosfery, nie grozi żadne nebezpieczeństwo, jestem przy niej, nie pozwolę, by jej się coś stać mogło, ona to czuje. Dobrze, że tu jestem, nie wolno takiej kobiety zostawiać samej! Jak on patrzy na nią. Chciałbym się rzucić na niego, ale stoi przede mną jakaś przegroda, podobna do szyby szklanej w pociągu.

Siedzimy przy stole, Greta kazała podać likiery. Mała, szlifowana karafka, małe, kolorowe szklaneczki, poco tyle ceremonji z tym człowiekiem, należałoby go poprostu złapać za kołnierz, wyrzucić i strząsnąć jak żmiję. Dlaczego milczy, dlaczego nic nie mówi, dlaczego siedzi jak mruk.

— Jeszcze szklaneczkę, proszę, — powtarza Greta.

Jest jak kret, jak miętwa, która się wsysa tysiącami macek; trzeba go wyprowadzić z równowagi i spokoju, a nie iść okreżną drogą, jak on; poco się podkopywać? Cóż on może wiedzieć, kimże jest, czy nie zrobił mi jakiejś przykrości, zanim jeszcze znałem Gretę, czy istniał wogóle taki okres czasu?... Mam wrażenie, że leżę w grobie, że wszystko to już kiedyś przeżyłem... Coś spada z przestworza, łąduje i uderza w człowieka, biała dusza pły-

nie bezdźwięcznie w powietrzu, wszystko jest niepojęte i schematyczne jak galareta, żyjemy w świecie cudów... Oto siedzę w eleganckim pokoju, naprzeciw siedzi ktoś, kto mnie, nie wiem dlaczego, nienawidzi. Obok Greta — żona! Jestem jak aktor na scenie. Czy będę pamiętał swą rolę, czy sztuka jest napisana do końca, ściśle określona? Powtarzam tylko coś prastarego, słowa spadają same z mych ust, krew sama toruje sobie drogę, zamknięty jestem w mięśniach i ciele, tkwię w sobie samym i rozglądam się poprzez swoje oczy, jakbym stał w wąskim szybie, oto świat, oto ludzie, ulice, chmury i pokój i przeznaczenie, sam do tego należę...

Gdzież jestem? Przecież coś musi się stać, muszę coś zrobić, inaczej stanie się coś ze mną, muszę słuchać, o czem oni mówią; to konieczne; dlaczego wstała, należałoby ją zawołać! Wychodzi drobnymi, lekkimi krokami, kołysze się. Czy poto, aby tamten widział? Oddaje mnie w ręce tamtego, zdradza mnie, kocha go, kocha go, mimo wszystko!... Pójdę za nią, rzucę się na nią, cóż mnie ten człowiek obchodzi, to przecież moja żona, pójdę za nią. Ale naprzód muszę się z nim rozprawić, naprzód z nim! Chwycę go poprostu za gardło... Odwrócił się nagle, spojrzał chłodno i badawczo i rzekł:

— Żona pańska wyszła na chwilę. Korzy-

stam ze sposobności, by z panem pomówić. Zapomnijmy o tem, co między nami było, niech mi pan wybaczy moje dzisiejsze zachowanie w pociągu, ujrzałem pana tak niespodziewanie, pułkownik Koch mówił mi, że pan padł ostatniego dnia, nie chciało mi się wierzyć, przeszedłem jeszcze raz przez okopy, leżeliśmy przecież w sąsiedztwie. Szkoda, żeśmy się częściej nie odwiedzali. Ale niema o czem mówić. Gdybym znalazł pańskiego trupa, ozdobiłbym go zapewne różami, zapomniałbym o wszystkim, przecież śmierć zasypuje wszystko. Tymczasem pan żyje, jest pan w domu, u boku żony! Chcę więc być znowu pańskim przyjacielem.

Moim przyjacielem? Róże? Oczy jego mają zimny, szary połysk, twarz nabrała twardego wyrazu, pochylił wąski kark, zwarł wargi, lewe ramię drga. Panuje nad sobą, ma czas, czeka na swą ofiarę.

To już raz było, siedział już kiedyś naprzeciw mnie, nie wiem tylko kiedy i poco, wyglądał prawie tak samo, jak teraz, ale to obojętne, chce przecież zostać mym przyjacielem, nie można go odtrącać, wojna się skończyła, wszystko idzie normalnym trybem, człowiek powinien być wdzięczny losowi, że żyje, że nie leży w błocie i kale. Jestem bardzo samotny, muszę mieć przyjaciela, dlaczego nie, przecież nie znam nikogo, nie przypominam sobie, bym

wogóle znał kogokolwiek, jest mądry, nie chcę, by Greta lub on mogli pomyśleć, że się boję, jestem odważny, dowiodłem tego. Odważyłem się na coś, na coby się nikt inny nie odważył, i żyję. Teraz dopiero życie zacznie się na nowo; nie będzie łatwe, niechże mi więc Borges pomoże, wtajemniczę go w swe plany, zapytam, co słyhać w moim zawodzie, nie trudno mu będzie odpowiedzieć, przecież nasze zawody...

— Przystąpi pan zaraz do pracy, co? — pada pytanie Borgesa.

— Tak, to znaczy za kilka dni, trzeba się rozejrzeć; być może, zajdzie konieczność uporządkowania pewnych spraw i... Trzeba na-przód wypocząć, pan także nie weźmie za-pewne odrazu całego ciężaru pracy, zaczeka pan na wyjaśnienie sytuacji, prawda?

— Poco czekać? Trzeba brać wszystko w łapy, zanim inni nas uprzedzą. Wszyscy wracają do swoich zawodów, wielkie wyścigi się zaczynają, kto teraz pomyśli o usadowieniu się przy nakrytym stole, ten przyjdzie za późno.

Chce mnie sprowokować, przyłapać. Nie zdradzę się, nie dam mu żadnego dowodu przeciw sobie. Węszy dokoła, tropi, dobrze, jestem równie mądry, jak on i równie jak on wykształcony. Przyjacieli! To mi przyjaciel, który jest szpiegiem! A może jestem zbyt wrażli-

wy, ma z pewnością jak najlepsze zamiary. Gdzież Greta, trzeba się mieć na baczności, trzeba atakować, trzeba uprzedzać atak, uderzać z boku.

— A pan? Pański zawód?

— Jutro rozpoczynam pracę. Zbrodnia-
rzy nigdy nie brak.

— Smutny zawód...

— Tak pan sądzi? Noszę beret, jestem
obrońcą państwa, karzę zło z polecenia siły
wyższej...

— Ta siła rządzi sama.

— Ale potrzebuje narzędzia naszych rąk.
Człowiek musi się bronić przed sobą samym.
Dawniej był pan innego zdania.

Dawniej? Znowu się do mnie dobiera? Ko-
mu ten człowiek grozi? Z jednego okopu do
drugiego: ucieknę!

— Wojna wykopała przepaść, wojna i...
śmierć. Niejedno zmieniła i zatarła.

— Są jednak rzeczy, wobec których prze-
dawnienie nie istnieje, które trwają; wtajem-
niczeni widzą je jako krwawy znak, wołają-
cy o pomstę.

— Być może.

— Bywają rany, które się nie goją: otwie-
rają się ustawicznie, ustawicznie. Dzieje się
to dlatego, że pozostała w nich jakaś drobna
okruszyna, jakieś ździebełko; nie można ich
uleczyć, ździebełko przebija ustawicznie cien-

ką skórę, zbiera dokoła siebie ropę. Pan, jako lekarz, rozumieć to powinien najlepiej.

Tak, ja, jako lekarz, tak, ale dlaczego on mi to mówi, dlaczego zdradza mi to tak nie-mądrze, tak śmiesznie, naiwnie, przecież sam wiem, że jestem lekarzem, chirurgiem; w szafie leżą z pewnością instrumenty, drzwi na prawo prowadzą do pokoju ordynacyjnego, woda kipi za szklaną szybą, oto rurki szklane, sterylizator, garnki szklane o szlifowanych pokrywkach, wata, gaza, proszki, jodyna. Wszystko staje się wyraźne, spływa z mózgu, jak chmura, i paruje, muszę tam wejść, muszę wszystko obejrzeć, wszystkiego dotknąć, muszę zbadać, czy wszystko stoi na dawnym miejscu, czy się nic nie zbiło, nie zaprószyło; Grecie nie wolno tam wchodzić, zabroniłem jej raz na zawsze, muszę się dowiedzieć, kto się tem wszystkiem opiekował, trzeba zamówić siostrę miłosierdzia i pielęgniarza, trzeba wszystko puścić w ruch. W przedpokoju aż czarno od pacjentów, muszę przeprosić, nie mogę siedzieć tu dłużej i bawić go rozmową; trzeba pracować, zarabiać dużo, dużo pieniędzy, trzeba kupić Grecie pierścionek z czarną perłą, czy nie pragnęła zawsze czarnej perły? A może ma ją już, może nosi ją na środkowym palcu lewej ręki i czarna perła ślni na białej skórze? Czy nie dostała jej wtedy po wielkiej ope-

racji, gdy otrzymał tak wysokie honorarium? Tak, ale czy teraz potrafię dać sobie radę, czy ręce moje będą umiały krajać obce, nagie ciała, połamane kości? Czy dam sobie radę z pasami, z gipsem, z krwią, chloroformem i nagiemi kobietami?...

— Co panu jest, co się stało, pan nagle tak pobladł?

W głosie brzmi akcent triumfu, nie umie zapanować nad sobą, w oczach lśni jawna nieważność.

— Czy mam zawołać pańską żonę?

Nagle pies znowu wyrósł w pokoju. Nie zauważyłem go wcale, siedział tu przez cały czas, zwinawszy się w kłębek pod krzesłem Borgesa; oparł pysk o łapy, czołga się, podnosi, wymyka się wolnym krokiem, opuściwszy ogon.

— Już późno — mówię wreszcie.

Tamten, zatopiony w milczeniu, zdaje się, zapomniał o mnie.

— Niech mi pan wybaczy, że go już pożegnaliśmy. Greta odeszła już dawno, pan zrozumie, pierwszy dzień, trzeba się przyzwyczaić, prawda?

— Tak, niech i pan zechce mi wybaczyć, straciłem poczucie czasu, chciałem zajrzeć tylko na chwilę, przywitać się z państwem

i przeprosić pana. No, jesteśmy przyjaciółmi, prawda, i będziemy się częściej widywać.

— Tak, będziemy się częściej widywać.

— Proszę pożegnać w moim imieniu panią Gretę i przeprosić.

Wyszedł. Odprowadziłem go do drzwi, jestem znowu w pokoju, stoję przez chwilę samotny, trzymam się poręczy krzesła, ogarnął mnie lekki zawrót głowy, wszystko wiruje dookoła, nie mogę zebrać myśli, nie chcę myśleć, czuję jakiś ból, wiem, że ból ten nigdy nie ustąpi, wszystko jest takie schematyczne, nie wiem, co czynię, czuję w głowie ból i klucie. Poco wpuściłem go, dlaczego nie usłuchałem Grety? Zresztą, jest głupi i nieszkodliwy, może nawet dobroduszny, chce mi tylko napędzić strachu, teraz ciemna noc, na dzisiaj dosyć, odpocznę, zasnę, jutro nowy dzień, jutro...

Weszła do pokoju.

— Kochanie, — mówi, tuląc się miękko i łagodnie do mej szyi, — nie gniewaj się, że wyszłam, ale nie mogłam wytrzymać, miałam wrażenie, że mi ktoś sznuruje gardło; choć nie jesteś już zazdrosny, chciałam ci pokazać, że nic mnie ten człowiek nie obchodzi...

— Ani ciebie, ani mnie, wszystko dobrze, wszystko w porządku.

— O czym z tobą mówił?

— Jesteś ciekawa, chcesz wiedzieć wszystko, każde słowo, co?

— Janku!

Jakże byłem ostry, uderzyłem ją poprostu temi słowami, a chcę przecież być wobec niej cichy, łagodny.

— Janku — głos jej jest jak naczynie pełne miłości i pokory, w oczach coś taje, wargi ma wilgotne. Pochylam się nad jej twarzą, mam wrażenie, że twarz ta lśni wewnętrznym blaskiem, przezroczyste powieki leżą nad niebieskimi gwiazdami, długie, ciemne rzęsy drżą.

— Chodź, — mówi ledwie dosłyszalnym szeptem — mama śpi już oddawna, musi być późno, ten głupiec siedział tak długo, nie patrzyłam na zegar, wszyscy już śpią, chodź, tak mi tęskno — za tobą!

Patrzę na nią, leży w mych objęciach, czuję ciężar jej ciała, oddech ma gorący, w oczach lśni jedyna, wyłączna miłość. Nagle ogarnia mnie szalone przerażenie, serce wali jak podczas burzy, coś dusić zaczyna za gardło. Co to wszystko znaczy, kiedyż tu przybyłem, teraz noc, to się musi skończyć, chcę być nareszcie sam, zaraz, natychmiast, czego ona chce, dlaczego tak patrzy na mnie?!

Podniosła się, nic nie zauważyła, oczy jej ciągle jeszcze toną w moich, pozostaną w nich chyba na zawsze, nie odejdą... Bierze mnie

pod ramię, lewą ręką otwiera drzwi, zapala w przyległym pokoju światło. Mała żółta ampla rzuca żółte, matowe, przytłumione światło na dwa łóżka; stoją obok siebie w bezpośrednim sąsiedztwie, niema między nimi żadnego przedziału. Białe prześcieradła, biała kołdra...

— Nie, nie, nie!

Skąd się wziął we mnie ten obcy, straszliwy okrzyk? Odskoczyła w bok, otworzyła szeroko oczy, drży jak w febrze, pobladła aż po korzonki włosów.

— Co ci jest, Janku!

Sam jestem przerażony, stropiony. Biorę jej ręce w dłonie, są chłodne i wilgotne, obsypuję je pocałunkami, otaczam ją ramieniem, ciało wije się w zawstydzonych łkaniach, przyciągam ją do siebie, siadam na brzegu łóżka, biorę ją na kolana, widzę białą szyję, małe, pulsujące ścięgna, drobne, trzepoczące się serce, położyłem rękę na okrągłym ramieniu, zaczepiła bluzkę o krawędź łóżka i rozdarła ją, białe ciało lśni matowo i przezroczysto, dotykam go ustami, zapominam o wszystkim... Krew pulsuje mi w skroniach, jak błędny dotykam rękami jej twarzy, kasztanowych włosów, wąskiej szyi, białych piersi, okrągłych kolan — nagle słyszę jakiś szmer za drzwiami, jakieś drapanie... Podnoszę gło-

wę z poduszek, nadśłuchuję, ręce zapomniały, gdzie były przed chwilą, mgła się rozplynęła, wszystko staje się proste i jasne, wszystko zwraca się ku drzwiom. Słyszę wyraźnie drapanie, trzask drzewa, zeskakuję z łóżka, buci-ki skrzypią na podłodze; podeszedłem do drzwi, otwieram je; zupełnie ciemno, nikogo niema, może się pomyliłem, może to tylko odgłos wzburzonej krwi, lub wewnętrzne echo granatów, może umarłem i śnię tylko, może ktoś drapie w mój grób, może trwa jeszcze wojna, może lecą jeszcze odłamki murów i błota... Chcę zamknąć drzwi, to śmieszne przywidzenie, pocóż stoję przy drzwiach, gdy niema nikogo. Chcę do niej wrócić, jakże mogłem ją teraz zostawić samą, samą! Położyłem rękę na klamce, naciskam, czuję opór, coś miękkiego, elastycznego. Nagle ogarnia mnie lęk, naciskam klamkę z całej siły, wtem rozlega się warczenie, w ciemności, tuż koło twarzy, wyrosła para wielkich, zielonych oczu, podobnych do nieruchomych, błyszczących punktów. Oto kudłata głowa, zmierzwiony włos ciemne, kudłate ciało, wyprężone do skoku. Cofam się o krok, biorę krzesło, stojące w kącie pokoju, zamierzam się niem — oczy znikają, głowy niema, drzwi ustępują, przekręcam klucz dwa razy, za drzwiami słychać jakieś krocзки, wreszcie zapada zupełna cisza. Stoję

jeszcze przez chwilę i nasłuchuję, cisza, od-
dycham mniej gorączkowo, odwracam się,
wchodzę do pokoju. Leży jeszcze, położyła
się na brzuchu, zgorączkowaną głowę zaryła
w poduszki, suknia podniesiona wysoko, nogi
obnażone po kolana, włosy rozpuszczone. Łóż-
ko drży od łkań. Podchodzę cichutko, nagle
stała mi się zupełnie obcym człowiekiem. Po-
prawiam ostrożnie suknię, siadam na brzegu
łóżka. Chciałbym coś powiedzieć, chciałbym
wyciągnąć rękę i pogłodzić jej włosy, mam
jednak wrażenie, że dzieli nas nieskończenie
daleka przestrzeń, ręka mi ciąży, zmęczona,
oczy same się zamykają, chce mi się spać,
spać!

Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Może
spałem, może zapomniałem, że siedzę na kra-
wędzi łóżka, a obok mnie szlocha kobieta. Nie
moja w tem wina, jestem jak człowiek, który
wyszedł z ciemnej piwnicy i po raz pierwszy
ujrzał światło, drzewa, kamienie, ludzi, kobie-
tę, własną żonę... Pamięć zaczyna wracać.
Niech mnie zostawią w spokoju, jestem chory,
wszystko wydaje mi się nowe, przeżywam
wszystko po raz pierwszy, to tak męczy, w do-
datku co chwila zjawia się wielka, ciemna rę-
ka i zakrywa wszystko, jestem znowu zupeł-
nie sam, świat i przedmioty są takie straszne,

a najstraszniejszy jest człowiek dla siebie samego.

Otrząsam się, przecież nie mogę tak się dzieć aż po nieskończoność. Która godzina? Jej wąska ręka leży na mojej ręce, podciągnęła kóldrę, kóldra porusza się wolno, miarowo; to jej oddech, śpi.

Patrzę na rysy jej twarzy, leży teraz nawznak, twarz ma czerwoną i obrzękłą od płaczu, podniosła kolano jak małe dziecko, opuściła rzęsy, kilka drobnych, wzruszających włosków okala skronie, miękkie usta są napół otwarte; od czasu do czasu wzdycha głęboko lub ściska mą rękę; nie ruszam się, pochyliłem się nad nią, dotykam niemal jej twarzy. Przez lewą część ciała biegnie niebieska żyła, rozszczepia się przy skroniach. Zupełna cisza. Słyszę tylko ciągle miarowy oddech, coś żyje samo z siebie, wykonywa mechaniczne odruchy. Nie pohamuję się dłużej! Pochyliłam głowę jeszcze bardziej, dotykam wargami jej ust, są miękkie, słodkie, budzę ją do życia; podniosła powieki, ciemnoniebieskie gwiazdy budzą się z nieznanym, dalekich snów.

— Greto, — mówię szeptem — kocham cię, kocham twe usta i kosmyki włosów dookoła skroni i czoła, kocham twoje oczy i dalekie, wilgotne ich lśnienie, kocham twe łzy i zapłakane usta; nie było mnie przez długi czas, te-

raz wróciłem, potrzeba mi czasu, aby się z tobą oswoić, bądź cierpliwa, czekaj, aż odnajdę siebie samego, ciężko mi, nieprędko się to stanie, lecz kocham cię i nic nas już nie rozdzieli, kocham z głębi duszy i nie puszczę cię już nigdy.

Para oczu obudziła się, słucha, promienieje z nich niebieski blask, dwoje ramion oplata mą szyję, ciało szaleć zaczyna z radości, tuli się do mnie mocno, mocno... Niema już ubrań, nic nas nie dzieli, usta utonęły w ustach, ciała złączyły się w jedno...

Noc mija, za firankami zaczyna szarzyć, nie mogę zasnąć, opuściłem kołdrę, leżę zupełnie nagi, gorąco mi i niesłychanie duszno. Leży obok mnie, uśmiecha się, widzi mnie we śnie; i we śnie żyję w niej, nie jestem już sam... Dlaczegoż ogarnął mnie taki niepokój? Podzieli ze mną każdy los, cóż mi się stać może, Borges jest moim przyjacielem, sam mi to powiedział, prosił o przyjaźń. Cóż mi pies zrobić może? Jeżeli pojawi się raz jeszcze, zabiję go; dobrze, że noc minęła, wszystko jest bezładnem majaczeniem, głowa boli, gorąco mi, inni śpią, nakryli głowy kołdrami, tylko ja jeden czuwam, bo muszę się mieć na baczności, bo w każdej chwili coś się stać może. Nikt nie jest pewny swego losu; kierują nami tajemne nici, rozpięte w powietrzu. Kiedy ich dotkniemy, nici zmieniają się nagle w węzły...

— Nie śpisz, Greto, byłem przekonany, że śpisz. Dlaczego patrzysz na mnie tak dziwnie, dlaczego usiadłaś na łóżku, coś się stało? Odkryłem się, bo mi gorąco, no widzisz, znowu podciągnąłem kołdrę. To pięknie, że się wstydzisz, ale na wojnie ludzie zapomnieli o wszystkim, nawet o wstydzie. Nie sypiam tak dobrze, jak ty. Mówże coś, powiedz choć słowo, jesteś taka blada, przecież wszystko już dobrze, kocham cię, ty mnie kochasz, zaczynamy nowe życie, nie rozłączymy się już nawet we śnie, prawda? Ty, ty...

— Zdejm... jeszcze... kołdrę — jąka, nie mogąc złapać tchu. — Nie wiem, co to znaczy, ale zdaje się, że nie masz... pępka!...

— Nie mam pępka? To śmieszne, przecież każdy człowiek ma pępek, każdy, którego urodziła matka; to nas łączy z ziemią, ze wszystkimi ludźmi. Mamy wszyscy jedną matkę. Jeszcze śpisz, nie przetarłaś oczu!

— Nie, nie, nie! — woła Greta.

Jednym susem znalazła się w mem łóżku, mała jej ręka nabiera nagle siły, zdziera ze mnie kołdrę, patrzy na moje ciało z takim przerażeniem, że sam idę za jej wzrokiem, dotykam palcami brzucha: jest gładki, skóra napięta jak na okrągłym bębnie, brak jakiegokolwiek wgłębienia!

Nie mam pępka, nie mam matki, nie mam dziecka, nie należę do łańcucha, który zamyka ciała wszystkich ludzi. Nie wydało mnie niczyje łono, jestem ciałem ludzkim, nie będąc niem równocześnie, jestem sobą i kimś innym, mam nazwisko i własne przeznaczenie, a jednak nie jestem człowiekiem. Gdzież mój początek, gdzie mój kres? Przecież czuję samego siebie, nie dam sobie jaźni zabrać!

— Greto, nie przerażaj się! Skóra nie jest może zupełnie gładka, widzisz, oto zmarszczka, fałda, niewielka, ale bądź co bądź jest, może coś mi się stało na wojnie. Granat obok mnie eksplodował, ależ tak, na pewno upadłem, wszyscy upadli, nie pisałem ci o tem? Cały okop zwałił się z nóg, byliśmy zupełnie ogłuszeni. Zacząłem krwawić, widocznie wpadłem na drut kolczasty, miałem maleńką ranekę, tu, pośrodku, widzisz? Teraz ranka się zabliźniła, został ślad ukłucia, zmarszczka, prawie zupełnie gładka, właściwie zupełnie gładka. Wierzysz mi?

— Byłeś ranny i nie pisałeś o tem? Dlaczego nie pisałeś? Przeczucia moje się sprawdzają: jakże często widziałam cię na ziemi, w piachu i glinie, całego we krwi, martwego! Janku, Janku, jakie szczęście, że wróciłeś, że wszystko minęło, że żyjesz, śmierć była tak blisko, mogłeś umrzeć, wszystkoby się skończyło!

Znowu nie panuje nad sobą, gorącemi wargami dotyka mego ciała, całuje nieskończoną ilość razy fatalne miejsce. Potem podnosi się, klęka obok mnie, patrzy mi w oczy i pyta:

— Dlaczegoś to przede mną zataił? Wiem, dlatego, że mnie kochasz. Czyż mnie nie znasz, czyż nie wiesz, żem odważna i silna? Niema takiej rzeczy na świecie, którejbyś mi nie mógł powiedzieć. Nie boję się niczego, niczego.

Niczego, niczego? Ach, gdyby można było powiedzieć drugiemu człowiekowi wszystko, gdyby można wyładować się jak burza!

Tymczasem gdybym teraz podszedł do niej, zupełnie nagi, położył jej rękę na tem miejscu, gdzie brak pępka, i powiedział: patrz, nie mam pępka, nie rodziła mnie żadna matka, nie jestem sobą, nie znam samego siebie, ale kocham cię, — zadrży z pewnością, zacznie krzyczeć i odtrąci mnie. I cała odwaga i siła, cała miłość zniknie w jednej chwili.

— Nie bądź smutny, kochanie, przeszłość jest trupem, a my żyjemy i będziemy szczęśliwi.

Tak, jesteśmy i będziemy. Będziemy szczęśliwi. Musimy być szczęśliwi. Będziemy mieli odwagę i siły.

— Już ranek, już dzień, trzeba włożyć ubrania na ciało.

— Jak to dziwnie brzmi: włożyć ubranie na ciało.

Dziwnie? Wchodzimy w jakieś ubrania, zakrywamy czemś nasze nagie ciała, idziemy do pracy i dopiero wtedy stajemy się ludźmi.

Ubrałem się w białą koszulę, mam na sobie jasnoszare ubranie, jasne spodnie nienagannie przyprasowane, nogi tkwią w liljowych pończochach i w żółtych pantoflach. Jestem przy pracy, tamci czekają w przedpokoju; siedzę przed biurkiem w szerokim fotelu, cóż w tem dziwnego, obok na krześle kobieta, pochylona nad swem dzieckiem. Dziecko ma sześć lat, podczas zabawy skaleczyło się o blaszane pudełko; zdejmuję biały opatrunek, palec czerwony i spuchnięty, robi wrażenie kawałka martwego, miękkiego mięsa, w kierunku ramienia idą delikatne czerwone ścięgna, podobne do wstążek, na policzki dziecka wystąpiły rumieńce, oddycha nierówno, okrągłe, ciemne oczy błyszczą gorączkowo.

— Czy będzie można uratować palec, doktorze? Pan mówił, że jeżeli do nocy gorączka nie spadnie...

Matka jest jak przykuta do mych słów, do mej twarzy, stoi przede mną i spala się cała. Mam wrażenie, że toczy jakąś walkę; żadna łza nie zakręci się w jej oku, stoi twardo jak mur, łyzy drażą tylko wewnątrz, szarą mgłą okrywają serce.

— Jakże mu na imię — pytam bezmyślnie, byle coś powiedzieć.

— Pan przecież wie, Arturek.

Ach tak, Arturek! Miłe, łagodne imię. Czy białemu, grubemu kawałkowi mięsa, który jest palcem, również Arturek na imię? Czy należy do niego? Arturek broni się przeciw temu, broni się przeciw samemu sobie, wszystkie ciała krwi pędzą w tym kierunku, walka wre, Arturek jest jak pole bitwy, coś w nim walczy, niema go już w palcu, palec jest już czymś zamkniętem w sobie, zetnie się go nożem lub piłą, ściągnie się zeń skórę szczypcami, wytnie się go, zaszyje się później skórę — cóżto za palec leży w wiadrze, czy to ty, Arturku, wczoraj poruszałeś nim, dotykałeś przedmiotów, czułeś, że jest, wczoraj, wraz z czterema innymi chwycił rękę matki i był szczęśliwy — gdzież twój kres, leżysz w kubie i siedzisz na łóżku, można żyć i bez palca, można ci odciąć całą rękę, i obie ręce, obie nogi, gdzież jesteś, Arturku, gdzie się zaczynasz i gdzie się kończysz! Bóle już minęły, siostra miłosierdzia pochyliła się nad tobą i zwilża kosmyki włosów, zwisające z twego czoła, oddychasz i nic nie czujesz, żyjesz i nie wiesz o tem wcale, a ja stoję obok, nie żyję, zdaje mi się tylko, że żyję, stoję w białym fartuchu, krew płynie we mnie i dokoła mnie, rozpryskuje się po zwojach gazy i prześciera-

dłach, to krew ludzka, ludzie zostawiają na gazie część swego życia, mam srebrne przyrządy i odcinam niemi życie, w kubie leżą kawałki kości, części żołądków, kiszek, w łóżkach dręczą się ludzie, do których to należało, chodzę wśród nich, pytam o gorączkę i bóle, dotykam ciał, pochylam się nad niemi, dotykam uchem piersi i serc, serca biją mechanicznie, chorzy nie czują tętna, ja tylko słyszę, jak serca ich oddychają i uderzają, patrzę w nie, jak w otwartą księgę, znam rytm ich życia, widzę pracę małych bakteryj, pochyłony nad mikroskopem, badam jakiś punkcik, kręcę śrubki, widzę komórki, niebieskie, czerwone punkty i prążki, widzę bakterję, napływającą z zewnątrz, wypierającą ciałka krwi.

Leżą opodal na swych łózkach, śpią, nie mają pojęcia, że widzę to, o czym sami nie wiedzą, i o czym nie dowiedzą się nigdy.

Ach, całe życie jest ślepe, wiem wszystko, widzę wszystko, mogę pomóc wszystkim, tylko nie sobie, oczy nasze patrzą zawsze na zewnątrz, wewnątrz jest ciemna jama, siedzimy w niej i nie możemy siebie zobaczyć.

Greta? Na dzisiaj dosyć, lecz może nocą któryś z nich umrze, może serce przestanie bić w piersi — ja leżę obok ciebie i obejmuję cię, życie moje wraz z nasieniem wsącza się w ciebie, rozplywamy się w szczęściu, i gdy tymczasem tutaj zaczyna się nowe życie, ga-

śnie tam dawne, zostaje gdzieś, dokąd nikt dotrzeć nie może.

— Masz zmęczony wyraz twarzy, — mówi Greta — dokoła ust pełno zmarszczek, trzeba było wypocząć przez kilka dni, nie rozpoczynać pracy odrazu, pacjenci zwalili się całą czeredą, jakby czekali na twój powrót. Przecież są jeszcze inni lekarze...

— A ty?

— Jestem szczęśliwa, myślę tylko o tobie.

— A Borges?

— Jestem od niego o sto mil.

— A gdyby zjawił się teraz?

— Nie przyjdzie. Zresztą, gdyby nawet przyszedł. POCO dręczyć siebie i mnie? Przecież wiesz, że go nie kocham.

— Nikogo nie widywałaś przez cały czas mego pobytu w okopach? Zawsze byłaś sama? Nie przyjmowałaś ani jednego mężczyzny, który cię pożałował?

Wybuchła płaczem.

— Tak, jedyną waszą odpowiedzią jest płacz!

— Zbyt wiele pracowałeś, jesteś znowu podrażniony....

— Czy dlatego, że mówię prawdę...

— Wiesz sam, że to nieprawda.

— Ty...

— Nie bij mnie, przecież sam wiesz, jak rzeczy wyglądają.

Drży, pochyliła głowę. Co się ze mną dzieje, dlaczego to coś przemawia przez moje usta, występuje przeciwko mnie, poco tak pracuję, cóż mnie chorzy obchodzą? Raz nareszcie nie pracować, używać życia! Przecież nato zostaliśmy stworzeni, albo, ściśle mówiąc, stworzyliśmy się sami!

— Pani Bussy Sandor...

— Otrzyj łzy!

— Żebym ja się kiedyś nie stała zazdrośna — śmieje się cicho Greta i białą chustką ociera oczy.

Jestem niespokojny, ogarnęło mnie dziwne podniecenie, którego nie rozumiem, idę ku drzwiom, zapomniałem niemal o Grecie, idę krokiem lekkim i elastycznym, czuję się młody i elegancki, równocześnie serce uderza trwożliwie, mam wrażenie, że mnie ktoś ukłuł w piersi. Drobnym, energicznym krokiem wchodzi kobieta; czarne, gładkie włosy uczesane wysoko nad czołem, biały, chłodny kark odrzucony wtył, czarne rzęsy, czarne, proste brwi, biała cera, przezroczysta jak alabaster, wielkie, ciemne, surowe oczy. Znam ten wzrok, rozkazuje i błaga równocześnie, uwodzi, panuje i wydaje się równocześnie pełnym pokory. Gdy opuszcza rzęsy, białka oczu nabierają niebieskawego lśnienia, okrągłe czarne źrenice giną pod brwiami, wąskie, purpuro-

we usta rozchylają się miękkim ruchem, kark pochyla się pokornie w bok.

Usta uśmiechają się w tej chwili, są ostre, wąskie i zamknięte, zmuszają się do spokoju, oczy lśnią, lewą ręką trzyma kurczowo chusteczkę i mnie ją nerwowo w białych palcach. Podchodzi do Grety, ściska ją; gdy policzki obydwu kobiet spotykają się na chwilę, patrzy mi prosto w twarz, uśmiecha się triumfująco i zarazem błagalnie.

To straszliwa kobieta, myślę sobie, wolałbym nie spotkać jej już więcej, sam nie wiem dlaczego, ogarnął mnie głuchy lęk, niech wypuści Gretę z objęć, nie wolno mi zostawić tych dwóch kobiet razem! Nagle zjawia się w pokoju pies. W tej chwili prawie go kocham. Nie patrzy na mnie, przygląda się tylko tamtej; jest jak wysłannik upióra, kuleje, wlecze za sobą lewą łapę, podniósł ją do góry, jest krótsza od prawej, zakrwawiona, nie mogę patrzeć na krew. Żal mi go, dlaczego stoi pod drzwiami jak upiór, niech się weseli, że go nie zabiłem, cóż on węszy? Ach, perfumy! Są jak ona sama, ciężkie, oszalamiające, jest w nich coś okrutnego, wdzierają się w mózg, krew zaczyna pod ich wpływem pulsować, powstaje czerwona mgła — można o wszystkim zapomnieć, coś zmusza do poddania się. Zbrodnia — morderstwo — rozkosz...

Podaje mi rękę do pocałunku, pochylam

się nad nią, ciemna fala zalewa moje skronie, mam wrażenie, że mi na mózg położono ołów, pochylam szyję, czuję bezgraniczną nienawiść... Po chwili podnoszę głowę, uśmiecham się, jak ona.

— Długo pana nie było, drogi przyjacielu, czas upływał nam wszystkim tak wolno. — Głos ma głęboki i miękki jak łóżko, mam wrażenie, że wargi smakują każde słowo, zanim je wypowiedzą.

— Byłem zajęty, wojna...

— Tak, był pan bohaterem, nie opuszczał pan okopów, ciągle operacje, spełnił pan obowiązki, prawda, to ważniejsze, niż wszystko, niż śmierć...

— Był ranny...

— Ranny? — Chwyta mnie za ramię, odrzuciła precz ironję, zdjęła maskę, zapomniała o wszelkich środkach ostrożności, podchodzi do mnie szybkim krokiem, na twarzy jej pojawił się wyraz przerażenia, napiętności, miłości. Po sekundzie wraca do równowagi, na ustach zjawia się znowu uprzejmie—ironiczny uśmiech. Tylko głos drży jeszcze nieco. Wzięła Gretę pod ramię i mówi:

— Ach ci mężczyźni! Co za bezwzględność, egoizm! Ale ma go pani znowu.

Przez moment patrzy na mnie, widzę w jej oczach wyraźne szyderstwo, słowa jej brzmią, jak wyzwanie, nienawidzę jej teraz. Mimowo-

li przychodzi mi na myśl Borges, czego chcą ci ludzie, dlaczego tłoczą się dokoła mnie, dlaczego wyciągają ramiona, chcą spokoju, chcą tylko odrobiny szczęścia, niech wszyscy idą precz, chcą być sam z Gretą, nie znam nikogo, nie wiem o niczem, chcą być sam!

— Z pewnością wziął się pan zaraz do pracy? Wyobrażam sobie, ile pan ma roboty. Pracuje zapewne wieczorami i nocą, a pani siedzi sama i czeka. Jestem przekonana, że opuszcza dom niechętnie, że będzie pani poświęcać cały wolny czas; tak było zawsze, więc i teraz tak będzie.

— Gdzież miałbym go spędzać, czy to nie samo przez się zrozumiałe?

— Tak, to samo przez się zrozumiałe.

Usta nabrały złego, niezadowolonego wyrazu, staje bardzo blisko mnie, oszałamiają mnie perfumy i zapach ciała. Podnosząc nerwowo lewą brew, zapytuje:

— Czy nie obawia się pan utracić przy tym trybie życia przyjaciół?

Czego ona chce, czem grozi?

— Przyjaciele właśnie dlatego nas cenią— mówi Greta. — Mąż zawdzięcza całą swą ogromną praktykę poświęcaniu się dla chorych. Spełnia swój obowiązek, ja spełniam swój, rezygnując często z własnych chęci i przyjemności. Ma zawód niezwykle odpowie-

działny, wszystko powinno mu się podporządkowywać, to zupełnie naturalne, jasne.

Serce bije mi mocno; czegoż się lekam, Greta ma rację, to jasne, że muszę pomagać chorym, że musiałem ratować chory palec dzieciaka...

Nagle coś się we mnie załamuje, czuję w mózgu zmęczenie, ledwie się trzymam na nogach. Niedobrze mi.

— Może pójdziemy gdzieś razem na kolację, pracowałem zbyt wiele. Może do restauracji, lub...

— Marnie wyglądasz. Jakies niepowodzenie?

— Skądże znowu.

— Chodźmy na operę. Tam dużo światła, muzyki, gwar, hałas. W mojej łóżnicy miejsca poddostatkiem.

Czy to przywidzenie, że dała mi znak okiem?

— Bezmyślni są ci komedjanci, tonący w świetle kinkietów! Wieczorem błaznują, wcielając się w imaginowane postacie, udają, że się przejmują, a w domu są biedakami, cierpią nędzę, doznają takich samych uczuć, co zwykły piekarz, lub szewc.

— Zostańmy w domu, — odpowiadam — czuję się już lepiej.

— Cóż się stało, dlaczego zmieniłeś zda-

nie? Jeżeli masz ochotę, pójdę chętnie. Propozycja pani Bussy...

— Może się lęka tłumu. Mam inny plan: chodźmy do obserwatorium astronomicznego oglądać gwiazdy. Samotnie tam i — ciemno — dodaje szeptem. Dotknęła mej ręki, niby przypadkiem, mam wrażenie, że to pieszczota, a może imaginacja, może sam tego chciałem, sam to uczyniłem? Patrzę z trwogą w jej twarz, jest chłodna i nieruchoma.

— Zachwycający pomysł, — cieszy się Greta — raz nareszcie coś nowego; muszę panią za to uściskać. Oddawna marzyłam o zobaczeniu obserwatorium. Ty także, prawda? Nie warto cię zresztą pytać!

Stała się nagle pogodna i młodzieńcza, wychodzi z głową wysoko podniesioną. Kołysze się w takt tańca, jakże ją kocham! Niema na całym świecie podobnej do niej kobiety!

Ktoś ujmuję mnie z tyłu za ramię ruchem gorącym i twardym, mam wrażenie, że to ciężkie szpony drapieżnego ptaka — Bussy zbliżyła swą twarz do mojej, policzki jej płoną, oczy lśnią dziwnym blaskiem.

— Dlaczego nie odpowiadałeś na moje listy, — mówi z udręką — poco ta głupia komedja z wychodzeniem, komu to potrzebne? Chcę cię mieć u siebie, samego, zupełnie samego. Przyjdź jutro po południu, ty...

Oplotła mi szyję ramionami, wargami przywarła do warg; szaleje.

— Nie kochasz mnie już, — syczy — wróciłeś skruszony do tej, co?

Dlaczego nie wydzieram się z tych uścisków? Dlaczego nie odpycham jej precz? Dlaczego spalam się cały w tym pocałunku? Przecież ta kobieta, przecież Greta....

Puściła mnie, stoję znowu sam, Greta wróciła, ubrana w kapelusz i czarny płaszcz, uśmiecha się jeszcze, na lewym policzku ma mały dołek, wstrzymuję gorączkowy oddech, jestem zupełnie oszołomiony.

— Dlaczego się uśmiechasz? — pyta Greta wesoło. — Macie oboje takie miny, jakgdybyście przygotowywali jakąś niespodziankę.

Niespodzianka... Śmieszne... Byle się tylko nie zdradzić! Nie mogę zebrać myśli, trochę perfum zostało na mojem ubraniu, jutro poczuję je przy operacji. To wstrętne, może jestem w narkozie, może ktoś inny jest lekarzem, a ja tylko cierpię za wszystko. Wszystko zwala się na mnie, a ja przecież chcę płynąć na fali po oceanie, chcę być wolnym, zupełnie wolnym...

— Doskonale pani w tym płaszczu — mówi Bussy.

Objęła Gretę za szyję, głos ma jakby zgarbiony, pochyliła plecy, wygląda teraz jak czarny kot.

Na dole, na ulicy, stoi Borges. Skąd przychodzi, czy stał tu cały czas? Mam wrażenie, że się nas nie spodziewał. Patrzy w okno gorączkowym wzrokiem, w migocącym świetle latarni wygląda jak blady upiór, głowa tkwi wśród wysoko podciągniętych ramion. Zaciśnął mocno wąskie wargi.

Zauważył nas, przeraził się, ramiona drgnęły w nagłym skurczu, prostuje się, na twarzy pojawia się nieśmiały, dziecinny uśmiech; kłania się Grecie, całuje ją niezgrabnie w rękę, wita się z nami.

— Skądże pan się tu bierze? — pyta Bussy Sandor. — Wygląda pan jak lunatyk.

— Ach — wieczór taki piękny — chciałem — powietrze takie łagodne i orzeźwiające.

— Niechże pan idzie z nami, — mówi Bussy, patrząc na mnie podstępnie, — we czwórkę będzie nam raźniej. Maszerujemy ku gwiazdom.

— Jeżeli państwo pozwolą...

Bussy popycha go naprzód, rozumiem ten manewr, chce go dla Grety, chce mnie od niej odsunąć, chce iść obok mnie, trzymać w ciemności rękę, pochylić ku mnie głowę, będę patrzył w jej oczy, włosy jej będą dotykać mego policzka... Nie chcę, nie chcę!

— Łaskawa pani — mówi Borges i podaje jej ramię.

Nie może odmówić, jest wściekła.

Borges? Czego on chce od Bussy? Pułapka? Czemże Bussy jest dla niego? A Greta? Stoi samotna, patrzy na mnie, jakgdyby błagała o pomoc. Już jestem obok niej, zapominam o wszystkim, biorę ją pod rękę, idziemy, nie oglądamy się.

— Widzisz, — mówi rozpromieniona — nie chciał wcale iść ze mną, niemal się boi.

— Kocha cię, — odpowiadam, przyciskając jej ramię do swego, — idzie teraz z Bussy i podziwia twój chód. Nie czujesz na plecach jego wzroku?

— Cóż mnie to może ochodzić?

Jestem bardzo szczęśliwy. Idziemy przez mroczne ulice, opiera się o moje ramię. Mijają nas ludzie, niektórzy na mój widok kłaniają się z radosnym uśmiechem, znają mnie z pewnością, a może myślą o kimś innym, to zresztą obojętne.

— Wszyscy cię pamiętają — mówi Greta.

Ja również nic nie zapominam. Co raz tkwiło w człowieku, to gdzieś zostaje, ci ludzie widzieli mnie kiedyś, a więc mnie znają, cóż w tem dziwnego? Tak dobrze jest iść, nic to, że tamci idą za nami, jakie to śmieszne! Otóż i Nero, skądże się wziął?

— Nie zamknęłaś go, Greto?

— Może matka go wypuściła. To przecież nic nie szkodzi.

Matka? Tak, to nic nie szkodzi, wszystko

mi teraz zupełnie obojętne; idziemy szybko, by tamci nie mogli nas dogonić, pies podskakuje wesoło i szczeka, zdaje się, że czuje się również szczęśliwy. Jesteśmy na dworcu, kupujemy bilety, wchodzimy po stopniach do wagonu, pociąg właśnie odchodzi, siedzimy w przedziale, jedziemy, pies jest z nami. Borges i Bussy Sandor będą musieli poczekać dziesięć minut, hura! Człowiek siedzący naprzeciwko patrzy na nas badawczo, przygląda nam się, jesteśmy parą kachanków, gdy zechcę, obejmę Gretę i ucałuję, biorę jej rękę w swoją dłoń, szepczę jej coś do ucha. Zarumieniła się, jest piękna, gdy się rumieni, oczy jej lśnią szczęściem, — pies oparł głowę o jej kolana i zamknął oczy — Greta trzyma mnie pod rękę, drugą ręką gładzi psa, cóż mi to szkodzi, to przecież w gruncie rzeczy biedne zwierzę, pogładzę je również. Pies warknął, wstał, odszedł od Grety, otrząsa się, kładzie się pod brudną, zakurzoną ławką, oparł głowę na łapach, patrzy na mnie wzrokiem niesłuchanie smutnym, jakgdyby płakał. Czy psy mogą płakać?

Pociąg zatrzymał się, przybyliśmy na miejsce. Jestem pewien, że Bussy się wścieka, z pewnością nie patrzy wcale na Borgesa, ale to mu przecież obojętne. Ach, jej perfumy, nie można się pozbyć tego zapachu, jutro włożę inne ubranie! Nie będziemy na nich czekać,

Greto, znajdą nas, dowiedzą się przecież, specjalnością Borgesa jest dowiadywanie się, ha, ha! Mało tu latarni, ciemno.

Nero kroczy za nami z łbem pochylonym ku ziemi i opuszczonym ogonem; drzewa śpią, musi być późno, czemuż jest czas, zapewne wogóle nie istnieje. Idziemy równomiernie, kroki nasze są wśród ciszy czemś żywym, w sobie zamkniętem, nogi kroczą obok siebie, oto mój wielki bucik i jej mały pantofelek, otośmy oboje, krokom odpowiada echo, jesteście zupełnie sami, idziemy coraz dalej, nogi płyną same, jak serce, które bije samo, dopóki nagle bić nie przestanie. Słysząc jakieś kroki, płyną wolno, spokojnie, oto człowiek, który jest spokojny, serce, które spokojnie uderza... Chciałbym być takim człowiekiem... Zrównał się z nami, pali cygaro, widać czerwony płomień, wszystko inne to tylko czarne cienie. Dokądże ten cień dąży tak samotnie, czy nie ma nikogo obok siebie, jak ja? Tak, obok mnie idzie najpiękniejsza na świecie kobieta! Kocha mnie, jesteśmy szczęśliwi. Odgłos kroków zamilkł, jesteście znowu sami.

Dotarliśmy do celu. Napół otwarta kopuła obserwatorium wiruje cicho na szynach, niesamowita luneta wygląda wśród nocy jak olbrzymia armata, na czystym niebie lśnią gwiazdy. Wchodzimy, wita nas jakiś starzec. Siwe włosy, siwa broda, szare oczy; mówi ci-

chym szeptem. Idziemy po twardym cemencie, mówimy starcowi, że chcemy poczekać; nie słyszy, jest głuchy, zapewne zbyt długo nasłuchiwał na górze, na wieży. Nie zwraca na nas uwagi, wchodzi po schodach, siada przy lunecie i zaczyna przekręcać śruby. Ma ciemną rękę karła, niebieskie żyły przecinają ją jak kawał starego drzewa. Wyciągnął cienką szyję, wygląda jak ptak prawieczny. Oczy już oddaliły się o miliony mil, na krześle siedzi tylko ciało, zgięte w pałąk nad lunetą. Od czasu do czasu wstrząsa niem kaszel, starzec drży wtedy, zielenieje i kiwa się na wszystkie strony; tylko głowa i oko pochylone nad lunetą tkwią w bezruchu, nie poddają się, nie wiedzą nic o kaszlu, są daleko, daleko. Zaczyna coś mamrotać, trudno go zrozumieć, ma zaledwie kilka pożółkłych zębów, patrzę badawczo na jego wargi, mówią: — „drogi planetarne — heljum“ — wydaje się, że dotykają tych słów, że słowa są jak krople, które spadają z tego, co tam daleko płynie w przestworzu.

— Wygląda jak kozioł — powiada Bussy, wskazując z uśmiechem na starca.

Nie zauważyłem jej przyjścia, nie wiem, jak długo tu jesteśmy. Zdaje się, że jest wściekła, nie patrzy na mnie, rozdyma nozdrza, zachowuje się nietaktownie i głośno, zmienia co chwila temat rozmowy, robi niepotrzebne

uwagi, dotyka wszystkiego, kręci wszystkie śruby.

Borges jest ciągle obok niej, wydaje się, że zapomniał o Grecie, śmieje się głośno i bez trosko.

— Gdzież są gwiazdy, przecież to tylko głupie maszyny, których nikt nie rozumie!

Stała obok starca. Karzelek nie widzi jej oczu, nie czuje jej miękkiego ciała, jej perfum. Głucha cisza nawet ją zbija z tropu, nikt nie waży się odetchnąć, jakiś święty majestat unosi się w tem stęchłym powietrzu. Bussy waha się przez chwilę, patrzy nieruchomo na połamanego starca, potem dotyka z zakłopotaniem jego pochylonych pleców i mówi nieco niepewnym głosem:

— Panie profesorze, pan siedzi nad tem z pewnością jakieś sto lat, niechże pan pozwoli, by popatrzyli inni!

Starzec powoli wypuszcza instrument i patrzy na nią błędnym wzrokiem, który wędruje jeszcze po dalekich przestrzeniach, wśród mgławicy gwiazd.

— Tak, tak, — powiada, kiwając mechanicznie starczą głową, — trzy miljardy, trzy miljardy!

Wchodzimy kolejno po schodach, serce mi wali. Bussy usiadła na krześle, założyła nogę na nogę, podsunęła suknię powyżej kolana.

Jest niesłychanie wesoła, nazywa Saturna

kołem u wozu, Syrjusz jest tu szpilką, gada bez przerwy, chce zobaczyć wszystko. Nareszcie ma dosyć, ukazując zieloną podwiązkę, zsuwa się z krzesła, wytwornym ruchem ustępuje miejsca Borgesowi, Borges dziękuje, te sprawy go nie zajmują, to rzecz uczonych. Następnie podchodzi do teleskopu Greta. Zachowuje się nieco niezgrabnie, jest zmieszana, nie może sobie dać z instrumentem rady, po chwili twarz zaczyna promienić.

— Jak pięknie — mówi skromnie i szczerze.

Wygląda jak cicha madonna, w wyrazie twarzy jest coś świętego. Wstała, dotyka lewą ręką mego ramienia i mówi:

— Janku, teraz ty!

Podchodzę, siadam, pochylam głowę nad lunetą, patrzę w nieskończoność. Nagle z dalekiej, pustej przestrzeni słyszę jakiś głos, czyjaś samotna, rozpaczająca dusza żali się, woła mnie, nie może znaleźć spokoju. Ogarnia mnie przerażenie, to okropne, serce ściska się w skurczu, żyły ścina lodowaty chłód. Może słyszę ten głos tylko w sobie?...

Nie, przeszedł teraz w wyraźny, rozpaczliwy płacz; to łkanie dziecka, to umarły płacze, to ja sam łzy wylewam; wszystko zaczyna widzieć przed oczyma, widzę zielone i czerwone koła, drży wielka, zielono-złota szyba, czy to mój mózg, czy dalekie słońce, a może to

Syrjusz?... Może tam daleko żyje częśćka mego własnego istnienia, może patrzę na nią teraz, to epoka staroegipska, nie było mnie wtedy na świecie, widzę przeszłość, widzę ją własnymi oczyma. Światło wymagało tak długiego czasu, by tu dotrzeć, może w rzeczywistości już zgasło, może już tam daleko umarłem i wołam siebie samego poprzez lodową przestrzeń, może słyszę siebie samego i widzę, może wcale mnie nie ma...

To łkanie, to przeraźliwe łkanie — nareszcie spokój, cisza.

— Chwała Bogu, — mówi Greta — głupi Nero przestał wreszcie wyć. Ostatni raz zabieram go ze sobą.

— Kto? Pies? — pytam, dygocąc jak w febrze.

— Nie słyszałeś? Leżał cały czas w kącie cicho; gdyś tylko podszedł do lunety, zerwał się, zaczął biegać dokoła przyrządu, skomlał, wył...

— Słyszałem, słyszałem, — powtarzam pobladłymi wargami — widocznie coś zwęszył, zostawmy go w spokoju, chodźmy do domu.

Idziemy, pogrążeni w milczeniu. Bussy i Borges idą na przodzie, gawędzą. Greta milczy; czuje, że cierpię, od czasu do czasu spogląda na mnie, mocniej przyciska ramię do mego ramienia. Nie pyta o nic, jestem jej za to wdzięczny. Pies biega z wywieszonym języ-

kiem między Borgesem a nami, odbył już tę drogę ze sto razy, nareszcie jesteśmy przed bramą, żegnamy się.

— Jutro o czwartej — szepcze mi Bussy. Popatrzyła mi prosto w twarz, głębokiem, przepastnem spojrzeniem. Zapomniałem o niej prędko, idę do swego pokoju.

— Nie chce ci się spać? Już bardzo późno — mówi Greta.

— Tak, bardzo późno, — powtarzam bezmyślnie. — Chciałbym popatrzeć na dziecko.

— Teraz, w nocy?

Podchodzę do łóżka, wyciągam małego śpiocha, biorę drobne rączki, gładzę małe nóżki, całuję delikatne oczęta, potem kładę go zpowrotem, okrywam starannie kołdrą, odwracam się, chcę coś powiedzieć i — walę się nagle do nóg Grety.

— Na miłość Boską, co ci się stało, kochanie? — wola i chce mnie podnieść do góry; obejmuję jej drogie ciało, oplatom kolana, kryję głowę w fałdach sukni i szlocham:

— Dziecko z tobą, twoje i moje dziecko — nigdy, nigdy!

Podnosi mnie, sadza na kolana jak dzieciaka, gładzi moje włosy, zatopiła w moich oczach zdziwione, szeroko otwarte, poważne oczy, porusza ustami, nie może wydobyć ani słowa. Tej nocy nie spaliśmy już. — —

Mam wizję senną: nie chcąc, by mnie kto-

kolwiek zobaczył, siedzę skulony we wnętrzu okrągłej rury; to luneta, a sam trzymam ją w ręku w odwrotnej pozycji i siedzę na odległej ziemi, widzę siebie samego. Jestem mały, jestem bardzo daleko, przekręcam śrubę, twarz zbliża się coraz wyraźniejsza, lecz to nie ja, to ktoś inny...

Ciągle kręcę śrubę, twarz ciągle się zmienia. Potem zjawia się Greta i zaczyna się również oddalać. Nagle Borges rozsiadł się w lunecie tuż obok mnie, gramy w kostki, gra idzie o Gretę i Bussy, on stawia igłę, którą jest Saturn, ja swoją głowę, wcieloną w Syrjusza. W pewnym momencie luneta eksploduje, — oddawna byłem pewien, że to właściwie armata, która musi kiedyś wystrzelić, — to z pewnością Borges wsypał do niej prochu! Ogarnia mnie bezgraniczna wściekłość, krążymy we wszechświatach, Borges, Greta i Bussy, wyprzedzają mnie ustawicznie o kilka świetlnych lat, dzielą nas wielkie przestrzenie, jesteśmy okrągli i lśniący. Pośrodku tkwi słońce; sam niem jestem, wyciągam ku niemu tęskniące ręce i nie mogę dotrzeć do siebie samego. Gdzieś daleko wylania się pies; stworzył szeroko paszczę; chwytam Syrjusza, chcę go nim uderzyć — trafiam w Borgesa, który się chwieje. Wpadamy wszyscy do paszczy, wszyscy: Bussy, Borges, Greta, Syrjusz, Saturn i ja... Staje się zu-

pełnie ciemno, z oczu psa płyną na okrągłą, czarną ziemię gorące łzy, podobne do złotych kropli. — —

Budzę się, spoglądam dokoła, Greta leży obok. Niebieskie oczy-gwiazdy utkwiała w suficie, po twarzy płyną łzy. Całuję ją delikatnie w czoło, oplata mnie ramionami, omal nie uduś mi mnie w namiętным uścisku.

— Janku, Janku, — szepcze mi do rozpalonego ucha — czy to możliwe, żebyś przestał wierzyć nawet, że to nasze dziecko. Cóż mam począć, co począć? Jakaś choroba cię zżera, dlaczego mnie tak dręczysz, zawsze byłeś zazdrosny, żeby jednak wątpić, czy dziecko... Całą noc dręczy mnie ta myśl, jakież mam dać dowód, że cię kocham? Czuję się bezbronna, słaba, nie wierzysz mi przecież! Sił mi już brak...

Słowa giną w łkaniu.

— Nie o to chodzi, nie rozumiesz mnie, — odpowiadam zrozpaczony — nie mogę ci tego powiedzieć.

— Ukrywasz coś przede mną? Kochasz inną? Ależ mów, powiedz wszystko! Gdyby nawet słowa twoje miały mnie zmiażdżyć, postaram się znieść wszystko, wszystko, bo jedyne go tylko pragnę, żebyś był szczęśliwy, bo kocham cię, kocham!

Czuję się fatalnie, nie wytrzymam dłużej tej męki. Gdybym mógł mówić, gdybym był trupem...

— Nie, prócz ciebie nie kocham nikogo, nie myśl o niczem, nie wążp w nic, wszystko jest w porządku, będzie w porządku, miej tylko trochę cierpliwości!

Wychodzę; co robić, jak się ratować?...
Spotykam matkę.

— Gdzie Greta? — pytają wąskie, pomarszczone, bezsilnie dygocące wargi.

— W łóżku. Przyjdzie zapewne za chwilę; niedobrze jej.

— Siądź więc obok starej matki. Przysuń mi krzesło, zjemy razem śniadanie, musisz mi pomóc, niedowidzę.

— Chętnie — mamó.

Przysuwam krzesło, siadam przy stole, biorę jej filiżankę, napełniam ją kawą, nie wiem, co mam mówić, zaczynam jeść, ona również wyciąga rękę po bułkę, łamie ją cieniutkiemi palcami, wkłada pojedyncze kawałki do gorzkiej kawy, potem wrzuca do filiżanki trzy kawałki cukru. Patrzę i myślę: musi to być odrażająco słodkie! A jak nieapetycznie wyglądają jej palce z poobgryzanemi paznokciami... Przecież to moja matka, trzeba coś powiedzieć, ale co, co?

— Bułka za twarda, nie mogę jej zgryźć, — mruczy staruszka — dawniej kupowaliśmy pieczywo u lepszego piekarza, trzeba będzie poszukać innego.

— Tak, — odpowiadam — zajmę się tem.

Ciasto stało zbyt długo w piecu, a przytem nie jest dostatecznie zaprawione, widzisz, tu, w tem miejscu; z pewnością piekł je roztargniony czeladnik.

— Skądże ty się znasz na tem? Mówisz tak fachowo, jakgdybyś przez całe życie zajmował się wypiekaniem bułek.

Trzęsie się ze śmiechu, okruszyna chleba wpadła jej do gardła, chwytą ją ostre, prze-
rażliwy kaszel, sinieje, pochyla się nad ta-
le-
rzem; zrywam się przerażony, doznaje dziw-
nego uczucia, krew uderza mi do głowy, okru-
szyna chleba może sprowadzić śmierć, cóż
mnie obchodzą bułki, skądże się mam znać na
tem, jestem przecież lekarzem, w stosunku do
chorych na żołądek mogłoby to jednak grać
pewną rolę, lekarze powinni właściwie umieć
gotować, powinni wynajdywać nowe potrawy,
powinni wiedzieć, z czego się składa pożywie-
nie mączne, jak na nie кишки reagują...

Kaszel minął, staruszka siedzi znowu nad
filiżanką i mruczy coś niezrozumiale. Cóż
mnie to obchodzi, nie mam czasu, muszę pra-
cować, obowiązek mnie wzywa. Greta mówi
zawsze: — „właśnie dlatego go kocham“ —
więc pracujmy, pracujmy!

Na biurku leżą listy od kolegów—leka-
rzy, pacjentów, którzy pytają o radę, od przy-
jaciół, związków naukowych. Leży także list
ze sądu. Dziwna rzecz, czegoż sąd może chcieć

ode mnie?... Wielka szara koperta i małe drewniane pudełko. Otwieram je, znajduję w niem rurkę, owiniętą w watę. Odrywam pieczęcie, patrzę: chrząstki i kawałki skóry ludzkiej, krtań, wgłębienia w skórze, ukąszenia, rana, Rozrywam kopertę. Mam to zbadać, mam wydać orzeczenie sądowe. Jakaś służąca przegryzła krtań swego pana, stało się to w łóżku, zgwałcił ją, chciała pieniędzy dla swej matki, która ginie z głodu; pan przyrzekł dać pieniądze, ale, zaspokoiwszy żądze, nie chciał spełnić obietnicy, więc przegryzła mu gardło. A może to sprawka psa, podobno był przy tem jakiś nieznany pies, kobieta wynajmująca pokój widziała, że w chwili zbrodni wskoczył do pokoju, może dziewczyna jest niewinna, może to ukąszenie psa i ślady psiej krwi. Powinienem to zbadać, mam bardzo mało czasu, rozprawa naznaczona na dwunastą, trzeba jeszcze zoperować ślepą kishkę, o czwartej trzeba być u Bussy. To szalona kobieta, i mnie doprowadza do szału! Może lepiej nie pójść?... Na papierze sądowym widnieje podpis Borgesa; wstrętny jest zawód prokuratora. Za chwilę przekonam się, czy to morderstwo... Mikroskop, odrobina pyłu na szkło, ciałka krwi zabarwiają się, na białych pojawiają się niebieskie i czerwone punkty... Ślady krwi ludzkiej, niema wątpliwości, że to było morderstwo. No, a teraz operacja!

Leży na białym stole, ręce ma skrepowane, nogi opasane szerokim rzemieniem, śpi. Ciało pręży się jeszcze, mięśnie napinają się w skurczu, twarz pod białą maską jest czerwona i spuchnięta, siostra miłosierdzia podnosi mu lewą powiekę i dotyka palcem oka. Reaguje, jeszcze jest żywym człowiekiem. Stopniowo napięcie ustępuje, oddech się pogłębia, płuca wypompowują powietrze, jak syfon, śpi głęboko. Gdzie teraz przebywa? Nie wie nawet, czy żyje, mógłby tak spać aż do śmierci. Skąd teraz te refleksje? Nienawidzę operacji ślepej kiszki! Może i tak wyzdrowieje, przecież nieraz wszystko kończy się pomyślnie i bez operacji. Właściwie nie powinno się nikogo operować, ludzie powinni umierać, gdy śmierć chce ich zabrać, nie powinno się ich krajać nożem, nie powinno się im rozrywać wnętrzności! Umyłem się gruntownie, ręce mam czyste, uwolnione od bakteryj, człowiek dźwiga na sobie całe miljarde bakteryj, niewidzialny ten wróg czyha na nas wszędzie, żyje obok nas, ma niegorsze od naszego prawo do życia...

Właściwie nie należy nic czynić, winy nie ma, a gdzie tylko człowiek tknie ręką, mówi się o winie, bezprawiu, morderstwie. Borges nie rozumie tego, nie może zrozumieć, taki człowiek jak on nie rozumie tego nigdy, dla niego istnieje tylko zagadnienie winy, według

niego, gdy jeden nie żyje, wina musi spadać na drugiego. Tymczasem są rzeczy — ale cóż mnie Borges obchodzi!

Mam kalosze na nogach, włożyłem gumowy fartuch, sterylizowany biały płaszcz, ręce moje tkwią w sterylizowanych cienkich rękawiczkach, na głowie mam okrągłą, białą, sterylizowaną czapkę. Otacza mnie słodki, żrący zapach eteru, wyglądam jak piekarz, wszyscy jesteśmy piekarzami, ubranymi w czapeczki. Oto ciasto, kraję je, wyskakuje bańka powietrza. Nie, to naczynie krwionośne, rozpryskuje się jak mała, czerwona fontanna, na białym prześcieradle pojawia się cała masa drobnych czerwonych kropek, podobnych do małych czerwonych poziomek, umieszczonych na torcie z kremu.

Głupie porównanie. Trzeba naczynie zamknąć, inaczej będzie krwawić, życie chorego wypłynie z niem razem i znowu ktoś umrze na zapalenie ślepej кишки... Proszę odciągnąć szczypcami mięśnie, muszę mieć swobodę ruchów, oto otrzewna, jest bardzo delikatna, porusza się tam i zpowrotem, tu jeszcze ciało reaguje, jedna część odczuwa więcej niż inne; aby to zrozumieć, trzeba sobie samemu brzuch otworzyć. Potrzebna większa porcja narkozy, ciało człowieka, leżącego na stole, przypomina sobie, że żyje, chce się podnieść... Zasnął znowu. Oto kiszka, otoczona mętnym płynem,

oto ślepa kiszka, mały wyrostek robaczkowy, trzeba go wypalić, trzeba wpakować w ciało rozpalone żelazo. Chwyciłem go, jest czerwony, na ścianie została tylko drobna, szara spuchlizna. Proszę zaszyć ostatni szew, proszę obudzić chorego. W brzuchach ludzi mieści się rzecz zupełnie niepotrzebna, pozbawiona wszelkich organicznych funkcyj; to pozostałość po zwierzętach, to bezmyślne dziedzictwo. Rodzicami naszymi nie są ani ojciec, ani matka, ani ich krew, nie! Żyją w nas wszystkie zwierzęta, wszystkie rośliny, jako embrjony posiadamy ich kształty, oddychamy skrzelaми, jesteśmy rybami, gadami, zwierzętami, mieścimy w sobie wszystkie twory. Potem coś czynimy, zaczynamy się poruszać, w gruncie jednak rzeczy jesteśmy tylko ostatecznym rezultatem, sumą wszystkiego. Gdzież nasz koniec? Wszyscyśmy bracia, wszyscy tworzymy jedność, niema winy, bo nie jesteśmy sobą, to nasza jedyna wieczność, nie potrzebujemy nieba, istniejemy zawsze, istnieliśmy zawsze, żyjemy we wszystkich ludziach, we wszystkich rzeczach, w całym wszechświecie.

Pół do dwunastej, trzeba się ubrać. Zażałbym chętnie do Grety, ale już późno. Trzeba ubrać się w czarny tużurek, sąd jest surowy, wszystko tam ciemne i bezlitosne, decydują się w nim losy setek ludzi. Co mogło skłonić biedną dziewczynę do morderstwa? Bo-

gaty gentleman był z pewnością łotrem, wina leży zawsze po stronie mężczyzny, kobieta pokutuje tylko, ta mała zrobiła to dla matki, żyła przecież w nędzy... Miała brata, kowala, czy piekarza, nie, to nie był z pewnością piekarz, padł na froncie, gdyby żył, gdyby pracował, nie byłoby może nędzy, niktby może nie zginął, kobieta nie byłaby się splamiła krwią. Ciekaw jestem, jak wygląda? To z pewnością dziewczyna o hyclo wskim wyrazie twarzy, o wyzywająco czerwonych wargach i zuchwałem czole; tamten nie był pierwszym kochankiem; ot, zwykła sentymentalna komedia, wymyślona dla obudzenia litości, dla zmiękczenia serc sędziów. Niewinność, biedna matka i nędza, brat—żywiciel, który zginął na froncie... Poprostu prostytutka, której za mało zapłacono, która w szewckiej pasji udusiła kochankę. Cóż mnie zresztą obchodzi, spełnię obowiązek, wydam orzeczenie, tak moi panowie, to ludzka krew...

Pada deszcz, niebo tonie w szarej mgle. Samochód płynie przez Tiergarten, wjechał na most. Na rogu stoi dziewczyna, ma jasne włosy, ubrana jest w białą bluzkę, spojrzała na mnie, zaczerwieniła się, chce przejść przez jezdnię, samochód wjechał w kałużę, brudna glina obryzgała jasne pończochy dziewczyny. Drżącym głosem proszę szofera, by jechał wolniej. Odczuwam dziwny niepokój, nie ro-

zumiem przyczyny swego podniecenia, oglądam się, chcę przeprosić dziewczynę ukłonem, widzę tylko pochyloną twarz i ręce, które kurczowo unoszą w górę jasną suknię.

Samochód zatrzymał się przed gmachem sądu, wysiadam zdenerwowany i przeczulony, zaczynam błądzić po korytarzach i schodach, dokoła pełno ludzi, zbitych w ciemne grupy, nikt nie waży się mówić głośno w tym przybytku przeznaczenia. Pokazuję wezwanie; nie przerywając ziewania, woźny skierował mnie ku poprzecznemu korytarzowi. Odcyfrowałem numery sal, czuję się bardzo zmęczony. To chyba nie potrwa długo, złożę zeznanie i wrócę do domu, do domu. Jakie to piękne, cudowne słowo: dom! Czy człowiek ma dom, czy ma ojczyznę?

Usiadłem na swem miejscu, publiczność tłoczy się na ławkach. Czego chcą ci wszyscy ludzie, których przygnała tu ciekawość? Borges stoi przy pulpicie, twarz ma purpurową, nie widzi mnie, przerzuca gorliwie akta. Przyszedłem za wcześnie, lepiej było pójść pieszo, zamiast z samochodu obryzgiwać błotem obcych ludzi. Szkoda, że nie pożegnałem się z Gretą. Dlaczego ta sprawa mnie tak interesuje? Przecież to najzwyklejsza zbrodnia, jestem lekarzem, nie znam się na prawie. Stojący naprzeciw adwokat w okularach nie wygląda zbyt inteligentnie, fakt, że rozmawia

z kolegami i opowiada kawały, jest dowodem, iż nie bierze sprawy poważnie; przyzwyczaił się, nic go nie wzrusza. Jakżeto? Przecież chodzi o wybawienie człowieka od śmierci, od więzienia!... Wchodzą sędziowie, usiedli, rozpoczynają swe zwykłe, zmurszałe formalności. Oskarżona — nie widzę jej wyraźnie, ławka na górze tonie w półmroku, dlaczego postawili koło niej aż dwóch policjantów? Publiczność wyciąga szyję jak w cyrku; człowiek zostaje człowiekiem nawet po dokonaniu zbrodni; zbrodniarz wygląda jak każdy z przyglądających mu się ludzi. Przemówiła. Nazwisko?

— „Emma Prześcieradło“.

Emma? Blondynka? Ależ tak, oczywiście, to ona, Emma Prześcieradło, Prześcieradło?! Publiczność śmieje się, milczcie, przestańcie się śmiać, to uczciwe nazwisko, niema w niem nic komicznego. Wiecznie, ciągle ten śmiech, ten chichot, darłbym z nich pasy! Emma? Nazywają ją na pewno Emcią. Muszę ją zobaczyć, cóżto za głos, kto to jest Prześcieradło?

Wstałem, ztyłu ktoś zawołał:— „Siadać“!— To nie cyrk, nie tak prędko każą mi złożyć orzeczenie. Matka siedzi zapewne przy śniadaniu. Matka? Trzeba będzie ruszyć w daleką drogę, jakie to smutne, że bez Grety. Dziewczyna ma miękki, melancholijny głos, to nie morderczyni, nie, to biedny, chory człowiek, który potrzebuje mej opieki, powinienem

wstać i zabrać ją ze sobą, mam do niej prawo, rozumiem ją, jestem lekarzem. Niech ją zostawią w spokoju, wszyscyśmy przecież braćmi i siostrami, wszyscyśmy równie winni i niewinni. Pójdę do niej, to jeszcze dziecko, cóż z nią uczyniono?!

Zaczyna mówić cichym głosem, mam wrażenie, że stanęła na palcach i szepcze mi coś tkliwie do ucha.

Ojciec umarł już dawno, matka choruje. Choruje?! Tak, choruje. Nie mówi, co jej dolega; opowiada o bracie piekarzu, który utrzymywał cały dom, a potem poszedł na front i zginął... Ostatniego dnia przygotowali wszystko na jego powitanie, postawili na stole wielką babkę, — upiekł ją z mąki jęczmiennej i rodzynek dawny czeladnik, to niezgrabny smarkacz, niczego porządnie zrobić nie potrafi, — matka usiadła przy oknie i wyglądała powrotu syna, w pokoju czystość wzorowa, na podłodze pełno jedliny, nad świeżo powłoczonym łóżkiem wisi wieniec, matka wydała ostatni grosz; gdy brat wróci, będą znów pieniądze w domu. Obejmie piekarnię, bułki są zawsze potrzebne, jeść musi każdy, zarobek pewny! Tylu kolegów padło, tyle pozostało zrozpaczonych rodzin, a one gotują się na przyjęcie swego bohatera i zbawcy.

Nadszedł wieczór — brat się nie zjawił. Może nie mógł się dostać do pociągu, taki

ścisk panował wszędzie, taki nieporządek, rewolucja przyszła tak nagle, wszystko runęło tak nagle, każdy tak śpieszył do domu..

— Do rzeczy — mówi przewodniczący.

— Czyż nie jest to rzecz najistotniejsza, czyż to nie...

Zmieszała się, głos ma jeszcze bardziej nieśmiały, trzepocze się jak zabłąkany ptak. O czymże mówić, przecież to najważniejsze, nie zjawił się, czekały przez cztery dni, kwiaty powiędły, matka znieruchomiała, nie mogła uwierzyć, że to prawda, twarz jej stała się zupełnie szara, ale ani jedna łza nie spłynęła po policzkach. Wrócili wszyscy z wyjątkiem Wilhelma, Wilhelm Prześcieradło zginął, nikt nie widział, jak padł, koledzy nie umieli nic powiedzieć. Napróżno Emcia tłukła się po urzędach, aby się czegoś o bracie dowiedzieć. Matka odsunęła krzesło od okna, nocami do uszu Emci dochodziły jej jęki, były, mówiąc słowami Wilhelma, jak dźwięk „złamanego naczynia“. Nie wstaje z łóżka, choroba serca wzmogła się wskutek przejść ostatnich, trzeba szukać pracy, zajęcia, pieniędzy, matka nie chce, by szła na służbę, ale co robić, czy mają umierać z głodu, niema innego wyjścia. Emcia nie umie nic, dotychczas była zawsze w domu, pomagała matce, stroiła się dla brata, którego kochała nad życie, ma jeszcze jego fotografię, stoi na szafce nocnej, chowa ją pod bluzkę, jak podo-

biznę ukochanego, całuję matkę na pożegnanie, odchodzi. Coś dusi ją za gardło, nie ma za co kupić lekarstwa, w domu niema ani grosza, musi się zdobyć pieniądze! Błądzi, szuka, wszystkie miejsca zajęte, zabrali je ci, którzy wrócili z frontu. Jedzie do Berlina, znajduje ogłoszenie: „Potrzebna dziewczka do posług w majątku Friedrichshagen“. Dziewka do posług! Cóż robić, delikatne ręce staną się wkrótce chropawe i czerwone, trzeba będzie słuchać surowych rozkazów, może ktoś nawet zbić się ośmieli, trudno, niema innego wyjścia! Trzeba pieniędzy na lekarza, na drogie lekarstwa, na specjalne potrawy dla chorej. Zdecydowała się, pojechała. Właściciel majątku obrzuca ją zuchwałem spojrzeniem, chętnie wymierzyłaby mu policzek, ale trzeba panować nad sobą, pamiętać o pieniądzach... Jest niski, krępy, ma tęgie ramiona, grube, mięsiste ręce, rude włosy i brutalne usta, zezuje, bada ją od stóp do głowy, to nic, byle były pieniądze... Żona chlebowawcy, chuda starucha z brylantowymi kolczykami w uszach, od pierwszej chwili traktuje ją brutalnie, śmieje się z jej sukienki, każe włożyć ordynarny fartuch; dobrze, że brat nie widzi, jak siostra pomaga parobkowi, jak wynosi gnój z obory, tego nie było w umowie, więc ją to oburza, wytacza swe żale przed chlebowawcą, starucha omal jej nie zbiła, Emcia ustępuje. Pienią-

dze, pieniądze, pieniądze... Pan obrzuca ją coraz dziwniejszemi spojrzeniami, pewnego południa, gdy żona wyszła, chwyta ją w ogrodzie wpół, Emcia wyrywa się i ucieka. Od tego czasu brutal już jej nie daje spokoju, starucha coś przeczuwa, węszy, jest zazdrosna. Życie na folwarku zmienia się w piekło. Pewnego dnia pan postanawia jechać do Berlina, każe, by Emcia gotowała się również do drogi. Może chce porobić jakieś zakupy, może trzeba będzie pomóc przy noszeniu pakunków?...

Są w Berlinie, pan bierze ją do samochodu, jadą, wjechali w małą, ciemną, boczną uliczkę, Emcia nie pamięta nazwy. Co to za dom? Czy zaczekać na dole? Nie, pan każe iść na górę, Emcia waha się, nie wie co robić, przerażone serce wali jak młotem, nagle zjawia się pies, wielki, ciemnobronzowy bernardyn z białą plamą na czole.

— Chodź-że, — mówi pan — dlaczego psu się tak przyglądasz?

Pies zaczyna szczekać, skomleć, podchodzi do niej, węszy dokoła i wciąga nozdrzami powietrze, odchodzi, po chwili wraca, doskakuje do pana, szczerzy zęby... Na dole stoi nie-młoda kobieta, twarz oblepiona szminką i różowym pudrem, robi jakiś ruch w kierunku pana, którego, zdaje się, zna dobrze, pan pienie się ze złości, uderzył psa ręką po grzbiecie, po-

pycha ku drzwiom opierającą się Emcią, uszminkowana baba robi głęboki dyg i uśmiecha się szeroko. Idą po półciemnych schodach, Emcią ogarnia szalone przerażenie, oto mały, ciasny pokój, łóżko. Dusžno, brak powietrza.

— Chodź — mówi pan.

Nozdrza mu drżą, wyciąga spasione ramiona, Emcia chce się bronić, krzyczeć; pan dotyka jej ucha nabrzmiętymi wargami i szepcze:

— Przecież to nie za darmo, dostaniesz złotą monetę, tak będzie każdym razem, kupię ci sukienkę, buciki, wszystko, czego zażyczyś; jeśli będziesz miła i dobra, dostaniesz nawet dwie złote monety. Uzbierzesz pokazną sumkę, znajdziesz męża, równie przystojnego, jak ja, ha, ha!

Emci brak tchu, w głowie czuje zamęt, dwie złote monety za każdym razem, przecież już jedna wystarczy na opłacenie lekarza, matka wyzdrowieje, wszystko się ułoży, można będzie wrócić do domu... Pieniądze, pieniądze, matka, wszystko się ułoży... Jest napół przytomna, pan zdiera suknię z jej ciała, wali się na nią całym ciężarem...

— Czy pani się broniła? — pyta przewodniczący.

— Skądże, była przecież nieprzytomna — odpowiadam głosem ochrypłym i ostrym, nie wiadomo dlaczego zrywając się z miejsca.

— Protestuję przeciwko wtrącaniu się rzeczoznawcy, to sprawa obrońcy, — mówi Borges.

Ma rację, ale skoro adwokat milczy... Zre-sztą, to sprawa czysto lekarska.

— To medyczna uwaga, panowie sędzio-wie.

— Protestuję — pieje Borges, czerwony jak indor, i uderza pięścią w stół.

Przewodniczący robi pojednawczy ruch ręką.

— Oskarżona ma głos.

Emcia straciła równowagę, mówi głosem drżącym, płacze. Nie wie, co się dalej stało, na-gle zapomniał o obietnicy, ochłódł, odwrócił się na drugi bok, osiągnąwszy, czego chciał, roz-walił się na łóżku jak zwierzę, wszystko da-remne, próżna ofiara, poświęcenie, zwiódł ją, okłamał, splamił, shańbił, niema wcale pienie-dzy, jest tylko nędza... Koniec, matka umrze teraz na pewno. To jego wina, jego! Oddała mu się dla pieniędzy, nie z miłości. Dzięki nie-mu, dzięki jego tłustemu, czerwonemu ciału została prostytutką...

Ogarnęła ją bezgraniczna nienawiść, zwró-cona przeciw niemu, przeciw sobie, wszystko zaczęło wirować przed oczyma, nie wie, co się później stało, wie tylko, że nagle pies zja-wił się w pokoju — — —

Oto wszystko, ani słowa więcej, nie poma-

gają wezwania, namowy, milczy uporczywie. Usiadła, lka cicho, wykrzywiła twarz, wargi jej drżą, wygląda jak zbite dziecko. Wydaje się, że już nic nie słyszy, że oczyma duszy widzi zbrodnię i trupa. Koniec. Cóż ją obchodzą sędziowie!...

— Wszystko zaczęło wirować przed oczyma, poczuła pani przypływ bezgranicznej nienawiści, nagle pojawia się pies, to dziwne, — powiada przewodniczący.

Cóż on w tem widzi dziwnego?

— Twierdzi pani, — ciągnie dalej przewodniczący — że ten mistyczny pies skoczył do gardła człowieka, leżącego obok pani. Cóżto za pies? Wedle zeznań u sędziego śledczego, nie zna go pani, podobno usłyszała pani hałas za drzwiami, po chwili klamka opadła, no?

Milczy, nie odzywa się ani jednym słowem. Może nic wogóle nie słyszy, może nie wie, gdzie jest?

Zjawiają się świadkowie. Oto opasła kuplerka w zielonej, papuziej sukni, tłuste, rozlewające się cielsko wtłoczone w gorset, oczyma czarne, okrągłe, na czole fryzowane loczki, mówi bardzo prędko, jest niezwykle podniecona, sepleni, ślina spływa po mięsistych wargach. Ach, coś podobnego w jej domu! To dom przyzwoity, bywają w nim tylko elegancy panowie, pan komisarz policji może po-

świadczyć; jest przyzwoitą kobietą, nie pozwoli, by na nią rzucono kalumnje; jaśnie pana z Friedrichshagen zna oddawna, bywał u niej często, gdyby żył, wystawiłby jej najlepsze świadectwo, biedak, zginął — niestety — w tak okropny sposób. Mój Boże!

Pociąga głośno nosem, wśród publiczności słyhać śmiechy, przewodniczący kręci się niespokojnie w fotelu, nareszcie otyła papuga uspokoiła się. Ta dziewczyna udusiła dobrogo pana, widziała na własne oczy, — jakto, na własne oczy, czyż nie było psa? — ach, pies, prawda, nie wie dokładnie, w jaki sposób się tam dostał, stał pod drzwiami, ciągle obwąchiwał dziewczynę. Nie ma pojęcia, czyj to pies, wie tylko, że był to brązowy, kudłaty bernardyn z białą plamką na czole. Gdy jaśnie pan dziedzic zamknął za sobą drzwi wejściowe, pies czekał na ulicy i, patrząc bez przerwy w górne okno, biegał wokółko, wyjąc przeraźliwie. Pod wpływem tego wycia przechodnie przystawali na trotuarach. Przerażona, otworzyła drzwi, pies wpadł na schody, biegnie w kierunku pokoju, który zajął pan dziedzic. Pobiegła za nim, zastała drzwi otwarte, pies uciekł przez nie tuż przy jej nogach. Patrzy, a na łóżku leży z przegryzionem gardłem, nagi, siwy pan dziedzic! Zaczęła krzyczeć i płakać, taki dobry, pocciwy pan. Obok, w koszu li, siedziała dziewczyna, nie ruszając się

z miejsca. To ona go zabiła! Patrzyła na nią dzikim, gorącym wzrokiem, zlekła się go, pobiegła po policję!

Sąd pozwala jej odejść, baba wykonywa majestatyczny ruch głową, kłania się, obrzuca salę triumfującym spojrzeniem i wychodzi. Chwila ciszy. Wreszcie głos przewodniczącego:

— Jak o tem świadczą ślady krwi na szyi i na podłodze obok łóżka, doszło między ofiarą a mordercą do walki. Chodzi teraz o to, czyja to krew: psia, czy ludzka. Jeżeli to ślady psiej krwi, co wydaje mi się równie nieprawdopodobne, jak cała historia z psem, która była tylko nie znaczącym epizodem, w takim razie możnaby przypuszczać, że pies został raniony, że więc istotnie między zwierzęciem a zamordowanym doszło do walki, i że zwierzę z nieznanых bliżej powodów przegryzło szyję zamordowanego. Pan rzeczoznawca ma głos.

Wstaje, podchodzę do sędziowskiego stołu, mam nagle wrażenie, że to nie ja idę, lecz stół posuwa się ku mnie, słowa biegną same, chcę powiedzieć coś innego, lecz usta, wargi poruszają się, jakby wbrew woli. Głos mój mówi:

— Badanie wykazało, że to ślady psiej krwi.

Słowa moje wywołują niesłychane wrażenie, publiczność wstaje z ławek, rozlegają się

podniecone okrzyki, głowy sędziów przysięgłych utworzyły zdumione koło, na sali podniecenie.

— Czy pan rzeczoznawca wie, że będzie musiał zaprzysiąc prawdziwość swego zeznania? — wrzeszczy Borges skrzeczącym głosem.

— Zwracam pańską uwagę na obowiązek lekarza i na znaczenie orzeczenia, — dodaje przewodniczący — to orzeczenie może mieć wpływ decydujący na cały proces!

— Wiem — odpowiada mój głos wewnętrzny.

— Proszę o zapytanie rzeczoznawcy przed zaprzysiężeniem, — ciągnie Borges — czy nie pozostaje z oskarżoną w jakichkolwiek stosunkach. To przecież możliwe. Gdyby pan rzeczoznawca nie odpowiedział na to pytanie, miałbym powód do kwestjonowania jego orzeczenia.

— Stoję tu wyłącznie jako lekarz, — mówi mój głos — wydaję orzeczenie, sprawy osobiste nie interesują mnie.

— Mam jeszcze inne podstawy do zakwestjonowania wiarygodności zeznań pana rzeczoznawcy. Wnoszę o powołanie innego rzeczoznawcy i o oddalenie tego pana.

Biegnę ku niemu, krew mnie zalewa, zapomina, gdzie jestem.

— Ten pan, — jakam się — ten pan, który

się ośmiela mnie atakować, wkradł się do mego domu, jako przyjaciel, zapewniał, że będzie mi przyjacielem, że...

— Panie doktorze, to nie należy do sprawy...

— Następuje mi na pięty, chce udowodnić...

— Proszę o decyzję sądu—mówi adwokat.

Przysięgli udają się na naradę, przewodniczący zarządza krótką przerwę. Nie wiem, co się ze mną dzieje, tłukę szybę, depczę po szkle, które nas rozdziela, nienawidzę go, kiedy spotkam, zdzieję go po głowie, nie dam sobie nic zabrać przemocą, nie dam i tej dziewczyny, to mnie nic nie obchodzi, spełniam swój obowiązek, swój obowiązek?! Obowiązek!

Chwieje się, bardzo mi niedobrze, wszystko tańczy przed oczami, niema czasu do namysłu, sędziowie siedzą już na swych miejscach. Wniosek prokuratora odrzucony, sąd rezygnuje z innego rzeczoznawcy, przewodniczący podkreśla, że trybunał ma do mnie całkowite i zasłużone zaufanie, wstaje, by złożyć przysięgę, nienawidzę go, nie zdaje sobie sprawy, czy przyczyną tej nienawiści jest Greta, czy też ta dziewczyna, wszystko się pomieszało, pokręciło, kładę palec na krzyżu. Kto to czyni? Ja, ja! Podnoszę rękę do góry, to przecież nie moja ręka, mogą ją odciąć i wrzucić do kubła, żyje sama własnem życiem, słowa

istnieją również same w sobie, nie wiem sam, kto je wypowiada. W sali panuje głucha cisza, słyszę, jak mi słowa kapią z warg, widzę siebie, zupełnie samotnego, jak w grobie, słyszę głos z grobu, przysięgę z grobu, jestem obok siebie, wszystko zasnute mgłą...

Borges wygłasza długą mowę — nie słucham jej — adwokat odpowiada, sąd wyszedł, po sali idzie pomruk, po niedługiej chwili sędziowie wracają, przewodniczący wygłasza krótkie przemówienie.

Wszystko się dobrze skończyło, dziewczyna jest wolna, wychodzi chwiejnym krokiem. Emciu! Patrzę na jej twarz, spojrzała na mnie, czy mnie widzi, czy właśnie mnie widzi? Twarz ma bladą, śnieżno-białą i jakby martwą. Dokąd idzie? Chciałbym pójść za nią, towarzyszyć jej. Wolna, wolna. Dzięki mnie człowiek odzyskał wolność! Chcę się uśmiechnąć, ale nie mogę poruszyć zastygłą twarzą.

Nareszcie opamiętałem się, Borges przechodzi obok, wzrok ma z żelaza, głowę drapieżnego ptaka ukrył między ramiona, nie zwracam nań uwagi, idę przez mroczne korytarze, schodzę po schodach, czuję się samotny, ciało mi ciąży, duszno mi, nie mogę zebrać myśli, ogarnia mnie bezgraniczne zmęczenie, jestem na ulicy, idę do domu, gdzie jest ten dom?... Nagle widzę w ciemności jaskrawe światło: to pies, brązowy bernardyn z białą plamą na

czole, to Nero. Stoi na przeciwległym chodniku, biegnie ku mnie przez jezdnię, szczeka głośno. — Co, czy to możliwe? Czegóż on chce od dziewczyny? Obwąchuje ją, coś zwietrzył, co, co? — Nikt nie powinien go zauważyć, inaczej koniec, otworzy się przepaść, w którą wszyscy, wszyscy wpadniemy...

Precz, precz, muszę uciekać, uciekać! Biegnę przez plac, przez ulice, pies goni za mną w olbrzymich susach, wywiesił język, nie może złapać tchu, pędzę przez Tiergarten, ludzie zatrzymują się i patrzą ze zdziwieniem, policjant odwrócił się, nie myślę o niczem, gnam naoslep ciągle dalej, ciągle naprzód, do jakiegoś celu, do jakiegoś domu. Brama. Pędzę po schodach na górę. Greta! Jestem w jej objęciach.

— Chwała Bogu, że wróciłeś, taka byłam niespokojna! Psa znowu niema, ciągle ucieka. Podczas twego pobytu na froncie uciekł raz na cały dzień.

— Wróci wkrótce, może już jest w domu.

— Mam go zamknąć, znowu chciał cię ugryźć?

— Nie, nie.

— Czy się coś stało? Nie będę go już nigdy wypuszczała.

— Ależ nic się nie stało. Czy ma pysk zakrwawiony? Zresztą, to obojętne.

— Dziewczyna uwolniona?

— Tak.

— Z twoją pomocą?

— Tak.

— Jesteś zadowolony?

— Owszem.

— Coś jednak jest w twojej twarzy. Przez cały czas...

Dlaczego pyta, nie powinna pytać, nikt nie powinien pytać, chciałbym mieć nareszcie spokój, chciałbym gdzieś na świecie leżeć spokojnie, chciałbym zamknąć oczy, umrzeć i leżeć w ziemi. Dziś właśnie upłynął rok od dnia powrotu, ileż wycierpiałem w tym czasie! Wszystko sprzysięgło się przeciw mnie, wszystko wyciąga po mnie ręce, ktoś następuje mi ciągle na pięty, jestem śledzony i otoczony szpiegami, nie znajduję spokoju. Żyję jak popiół, gnany wiatrem, jak zbieg, który sam przed sobą ucieka, cel mój jest gdzieś daleko, mój punkt ciężkości leży poza mną, daremnie staram się go pochwycić, nie mogę wyrwać swych korzeni, miotam się w ustawicznej niepewności, żyję wśród ludzi, którzy mi są dziwnie obcy. Gdzież są ręce, które mnie wreszcie podtrzymają, gdzież podstawa, na której potrafię oprzeć życie? Płynę po morzu, po fali, w głębinach morskich leży ma kotwica. Spoczywam w silnej ciemności, a równocześnie tańczę na powierzchni wód, zalanej światłem....

— Janku, — mówi głos obok mnie i para rozkochanych, błękitnych oczu patrzy miękko, miłośnie, — Janku, — powtarza Greta, oplatając mą szyję delikatnem ramieniem, — chcę cię o coś zapytać, a tak mi ciężko, tak ciężko mówić, gdy siedzisz z zamkniętymi oczami, pogrążony w rozmyślaniach, daleki... Ale muszę, muszę ci to powiedzieć, brak mi sił do ukrywania przed tobą mego niewysłowionego szczęścia... Dlaczego powiedziałeś wtedy, że nie już nie będę miała z tobą dziecka? Janku — — noszę w sobie — twoje dziecko!

Słyszę jakieś tony, które brzmią jak muzyka, jakiś głos coś mówi. Nie mogę tego pojąć, zrozumieć, to niemożliwe, to szaleństwo! Duszę się, chcę krzeczeć, mam z nią dziecko, żyje w niej moje dziecko, moje dziecko — — Greto!!

— Cóż ci jest? Przerażasz mnie, wyglądasz tak dziwnie. Nie cieszysz się?

— Greto!

— Ty...! — woła radośnie. — Puść, puść mnie, ręce masz jak z żelaza, jakiś ty silny, udusisz mnie...

— Na wieki, na całe życie — mówię ze wzruszeniem i całuję ją w usta. Potoki łez płyną mi z oczu. Wszystko się skończyło, nic złego stać się już nie może, przerzuciła most ponad wszystkim, jest mocniejszy, aniżeli

wszystkie przeszkody, należą do łańcucha żyjących. Nie złego stać mi się już nie może?!

Raz jeszcze oplatom ją kurczowo ramionami, pytam o coś twardem, palącem spojrzeniem, pochyliła głowę, patrzy na mnie głęboko i poważnie, usta jej są mi odpowiedzią.

Życie zaczyna się na nowo. Miłość je przewyciężyła, wszystko będzie dobrze. —

Jest zmęczona, musi się położyć, to ją wyczerpało. Kładę ją na kanapie, broni się wzruszającym uśmiechem, nie chce spać. Gładzę jej głowę, kładę ręce na jej powiekach, wreszcie poddała się. Śpi? Cichutko cofam rękę i zamykam oczy. Jestem szczęśliwy, w uszach brzmi jakaś melodia, nie mogę sobie przypomnieć co to za pieśń. Czas płynie, płynie. Chciałoby się zatrzymać każdą sekundę. Wahadło ściennego zegara porusza się miarowo, zegar wydzwonił godzinę. Która godzina? Cztery ponure uderzenia, cztery, liczę je mechanicznie, mam wrażenie, że to liczy ktoś z zewnątrz, ktoś, kto się powoli wsącza we mnie. Tak, czwarta! Przecież miałem coś zrobić.

Bussy! Muszę iść do niej, przyrzekłem wczoraj. Mam wrażenie, że to było przed laty. Cóż ona mnie teraz obchodzi, moje miejsce tutaj. Czeka z pewnością, wystroiła się, ufryzowała loczki, patrzy przez okno ciemnymi, stęsknionymi oczami, pochyliła w bok głowę. Jakże jej nienawidzę! Należałoby ją odrzucić

jak kawał błota. Czy była na rozprawie? W gruncie rzeczy to obojętne, moje miejsce tutaj, to mój święty ołtarz, w tem ciele żyję, rosnę z niej i ze siebie. Człowiek nosi w sobie siebie samego w milionach atomów, jeden z nich rośnie teraz w jej łonie, staje się człowiekiem, innym człowiekiem, a jednak kimś, kto był mną, ja również tak powstałem z dwójga innych istot. Należałoby klękać przed każdą ciężarną kobietą i obnażać głowę, przecież cud jest tak bliski, taki widoczny! Nie trzeba nam nieba, Bóg był i jest zawsze na ziemi. Pójdę do Bussy po raz ostatni, zabiorę psa, wrócę, zanim się Greta obudzi. Nie zauważyłam wcale, że wychodziłem.

W myślach całuję czoło Grety, oczy i ręce. Ociagam się z wyjściem, serce zaczyna walić, znów ogarnął mnie niepokój; gdy wrócę, wszystko wróci do normy. Na palcach skradam się ku drzwiom, otwieram je, oglądam się raz jeszcze, utrwalam w duszy obraz śpiącej. Greta uśmiecha się. Ogarnia mnie niewypowiedziana tęsknota i ból, chciałbym wrócić raz jeszcze, pozostać... Po długiej chwili wahania zamykam drzwi, spuszczam psa z łańcucha i wychodzę razem z nim.

Deszcz przestał padać, w kałużach odbija jasne światło, idę wzdłuż kanału, powietrze łagodne, miękkie, po wodzie pływają młode kaczęta, ledwie wykluły się z jajek, żółte, sza-

re i ciemne piórka sterczą komicznie, młode kręcą się z piskiem dookoła poważnej matki, wiosłują małymi nóżkami po wielkiej, brudnej wodzie, wylawiają z niej smakołyki i są w doskonałym humorze. Od mostu płynie szeroko prom, jakiś człowiek stoi na pokładzie i pcha go naprzód, uderzając wiosłem o dno rzeki, ma twarz spaloną od słońca, przy sterze stoi młoda kobieta z niebieską chustką na jasnych włosach, z małego komina kajuty wstaje delikatna smuga sinego dymu, kacząta uciekają na lewo, skąd wiedzą o tem, gdzie się tego nauczyły? Mimowoli myślę o swej amebie z laboratorjum. Ma ciało, które widzi, słyszy, odżywia się i porusza, wszystko w niej jest całością bez oczu, uszu, skóry, ust i serca, wszystko jest w sobie zamknięte, jest żywym życiem. Takimby być należało, takim może jestem, ale inni... Nikt, tylko Greta... I dlatego wszystko potrafi przezwyciężyć, dlatego żyje, śmieje się, płacze i kocha. Teraz leży na kanapie i śni, muszę się śpieszyć, pocóż tu stoje, przyniosę jej bukiet kwiatów. Z kwiatami tak samo: żyją w barwach i woni, potem przychodzi wiatr i rozsypuje w powietrzu nasiona, które spadają gdzieś i zakwitają znowu.

Idę szybkim krokiem, nie mam czasu, minąłem plac Lützowa, na rogu widzę kwaciarnię, wchodzę, kupuję trzy wielkie ogniste lilje, leżą na mej ręce jak trzy krwawe groty, wy-

siadam z kolei podziemnej, idę przez martwe ulice Schönebergu, zatrzymuję się przy pewnym domu ulicy Praskiej. Nie znam go, pies idzie z podwiniętym ogonem po schodach, co kilka kroków ogląda się za mną, jest w nim coś podstępnego, zdradliwego, a może to przywidzenie, zatrzymał się przed jakimiś drzwiami na drugim piętrze, macha ogonem. Dzwonie, służąca otwiera, jestem w przedpokoju. Na widok psa dziewczyna miesza się i mówi:

— Może lepiej będzie, jeżeli pies zostanie za drzwiami?

— Nie, wejdzie ze mną.

Mówię rozdrażnionym tonem, cóżto może obchodzi służącą, gdzie pies zostanie, jeżeli jest brudny, niech go oczyści, przecież to jej powinność, chce sobie oszczędzić roboty, ale tymczasem inni muszą także ciężko pracować, takie jest życie, trzeba wymiatać nawóz ze stajni, być przedmiotem zazdrości żony, potem mąż jedzie z dziewczyną do miasta, zaciąga w ciemną uliczkę, nie pyta o nic i rzuca ją na łóżko jak kłodę...

Krew albo śmierć z głodu, pieniądze albo głód! Wartoby to wszystko sprawdzić, zbadać, czemuż bowiem w takim razie jest wolność człowieka?

— Nie mogłeś przyjść później? — mówi Bussy, strojąc grymasy. — Dobrze, że nie za-

pomniałeś o mnie zupełnie, że choć trochę o mnie myślałeś.

Wyciąga ręce po lilje, trzymam je w ręku odruchowo, bezmyślnie, przecież nie poto je przyniosłem, — cóżto ja z nimi chciałem zrobić?...

— Nie chcesz mi ich dać, trzymasz je w ręku, jakgdybyś nie chciał wypuścić? — mówi ze zdziwieniem.

— Ależ owszem, chciałem — szukam tylko odpowiedniego kielicha, lub wazy.

— Daj spokój, znajdę coś, albo weź z sypialni tę kryształową wazę o srebrnej podstawie. Mam nadzieję, żeś nie wszystko zapomniał, w każdym razie uważaj. Nastawię tymczasem herbatę. Wprawdzie nie umiem jej tak przyrządzić, jak Greta, ale napijesz się mimo to, nieprawdaż?

Czuję się nieswojo, jakiś cień kładzie się na duszy, podaję jej kwiaty, są jak ciemne, płonące ostrze, przeszywające serce Marji. Po chwili wahania odwracam się, idę w kierunku drzwi. Nagle stanęła obok mnie, głowy nasze stykają się, dotyka włosami mych skroni.

— Tak się ze mną witasz?

Tłumiony głos ma miękki, ciemny odcień jej oczu, pochyliła w bok głowę, nosi brązową jedwabną suknię, szyja i ramiona obnażone, biała, gładka skroń łśni. Pochyliam się, całuje

tę chłodną, okrągłą kość słoniową, ciało jej zaczyna drżeć, bierze mą głowę w białe ręce, ciemne wargi...

— Gryź, kąsaj swemi białemi zębami — szepcze gorąco. — Jakże tęskniłam za tem!

Trzyma jeszcze kwiaty w ręce, jeden z nich łamie się o róg stołu, widzę w jej prawem oku mały zielonkawo-żółty punkcik, gorący oddech uderza mnie prosto w twarz, nagle staje mi się zupełnie obcą, zaczynam odczuwać dziwny wstręt, odsuwam ręce od jej ciała, udaję, że czynię to przypadkowo. Co ja tu robię, czego chcę? Nie zauważyła niczego, poprawia suknię, patrzy czule wilgotnemi oczami i szepcze:

— Lilja pochyliła się nieco, ale to nic nie szkodzi, z mojem sercem dzieje się to samo: bierzesz je do rąk i znowu wraca do życia...

Otwieram drzwi, jestem w sąsiednim pokoju, otacza mnie słodkie, przesycone zapachem perfum, powietrze, czuję zawrót głowy. Nad łóżkiem wisi wielki obraz olejny, naga dziewczyna z książką w ręce, na białym marmurowym stoliku pełno flaszek i pudełek z kości słoniowej, porcelany i kryształu, obok wielkiego owalnego lustra stoi waza. Zdejmuję ją, trzymam ostrożnie, nagle słyszę za sobą trzask, odwracam się. Nero skoczył na łóżko, zaczyna bawić się szeroką kapą, zaczyna drżeć kosztowną koronkę w kawały. Przerażony,

chcę podejść do niego, nagle zatrzymuję się — cóż ja robię w tej sypialni, czego tu chcę, czego ta kobieta chce ode mnie, to komedja, niech mi da święty spokój! Nagle ogarnia mnie wesołość: stoję w sypialni, trzymam kryształową wazę, pies leży zamiast mnie na łóżku i rwie w strzępy kape, jakgdyby to była smaczna kość wieprzowa! Nie mogę wstrzymać wybuchu głośnego śmiechu. Nero owinał się kołdrą, okrągłe, zdziwione oczy i czerwony zwisający język wystają jakby z pod białej szlafmocy. Chwycił mnie paroksyzm śmiechu, śmieję się do łez, chcę je otrzeć, nagle waza wypada z ręki i tłucze się na tysiące drobnych kawałków.

Bussy stoi w drzwiach, patrzy na rozbitą wazę i na mnie; wciąż jeszcze nie jestem w stanie opanować paroksyzmu śmiechu; na widok psa i podartej w strzępy kosztownej kapy Bussy traci panowanie nad sobą, rzuca się w kierunku łóżka, chce wyrwać psu resztki kapy i kołdry, ale Nero jest uparty, zaciął się, a może poprostu uważa wszystko za wesoły żart, nie puszcza, podniecenie jej rośnie, powstaje coś w rodzaju zapasów, coś w rodzaju obłądnego tańca, a ja stoję obok i śmieję się jeszcze ciągle, wściekłość jej dochodzi do zenitu, ma teraz purpurowe policzki. Zaczyna wrzeszczeć:

— Śmiejesz się, śmiejesz się! Przecież to moja kołdra, moje kryształy! To nie okopy!

Włosy w nieładzie, wygląda jak furja. Nero zeskoczył z łóżka, część kołdry owinęła się o lewą tylną nogę, szuka jej przedniemi łapami, kręci się wkoło jak szalony, pada na wznak, podnosząc łapy, po chwili podchodzi do lustra, Bussy wrzasnęła, ale za późno, stolik z flaszeczkami, tygielkami, pudrem, nożyczkami i perfumami leży na ziemi, rozbity na drobne kawałki, zielony płyn rozlewa się szeroko i powoli po posadzce, w pokoju zapachniało ambrawą i lawendą.

Przerażony pies zatrzymał się na chwilę, potem, opuściwszy mordę ku podłodze, zaczyna biec za wonną smugą. Tego już za wiele! Zapominam o śmiechu, wyrywam mu resztki kołdry, oddaję czarne strzępy w ręce Bussy.

Nie bierze ich, wybucha płaczem, żal mi jej, drżącą ręką poprawia fryzurę, suknią zmięła się podczas walki z psem, bluzkę ma rozdarta, płacze jak dziecko, zbliżam się, delikatnym ruchem odciągam ręce, któremi zakryła twarz, nie chce o niczem wiedzieć, rzuca się z łkaniem na łóżko. Czekam przez chwilę, stoję zakłopotany wśród tego spustoszenia, ale nie jest mi wcale smutno; Nero wlaź w jakiś kąt i patrzy dziwnym wzrokiem, podobnym do uśmiechu; poco tu stoję, przecież czekają mnie ważne, poważne sprawy. Trzeba koniecznie zakończyć tę komiczną historję,

Tracę cierpliwość, podchodzę do brzegu łóżka, chwytam ją brutalnie za ramię, mówię twar-
dym, wstrętnym głosem:

— Odchodzę, muszę odejść.

Podniosła się błyskawicznie, zapomniała o stłuczonej wazie, o podartych koronkach, podeptana zmysłowość odezwała się: obsypuje mnie gradem obelg. Jestem nikczemnym łotrem, podłym zdrajcą, wojna zmieniła mnie w śmiesznego, pospolitego, tępego bydlaka, może jestem pijany, wobec Grety nie odważyłbym się na coś podobnego, kto wie, do jakich kobiet się przyzwyczaiłem. Wyprasza to sobie raz na zawsze, mogę odejść.

Odwracam się, oddycham z ulgą, jestem zdecydowany skwitować z wszystkiego i odejść. Była to, zdaje się, komedia z jej strony, gdyż znowu wybucha płaczem, znowu się zrywa, obejmuje mnie za szyję napiętym histerycznym ruchem, zaczyna błagać, bym jej nie zostawiał samej, przyrzeka, że się zmieni, była w ostatnich czasach zdenerwowana, nie odpowiadałem na jej listy, nienawidziła Grety, może Gretę naprawdę — — nie, to śmieszne, przecież to niemożliwe, bym mógł kochać tak mizerną kobietę, jak Greta.

Wygląda obrzydliwie, szminka spłynęła razem ze łzami, na twarzy widnieją mokre plamy pudru, piersi ma obnażone. Mdli mnie, nie zniosę dłużej tego słodkawego zapachu

perfum! Całuję jej rękę, chcę jeszcze coś powiedzieć. Poco? Przecież to mnie w gruncie rzeczy nic a nic nie obchodzi. Jestem przy drzwiach. Przestała nagle płakać, stoi jak posąg, po chwili podciąga niezgrabnym ruchem bluzkę pod szyję, w oczach zjawiają się niesamowite blaski, miękkie wargi nagle twardnieją i stają się wąskie. Zaczyna wrzeszczeć ochryplym głosem:

— Idź, idź, nie potrzebuję cię, nie potrzebuję cię już oddawna, wracaj skruszony do swej słodkiej Grety, albo weź sobie inną kochankę, oto wdzięczność za moje wielkie uczucie, wiem dosyć o tobie, gdyby mąż mój żył, powiedziałabym prawdę, obrażasz bezbronną kobietę, biedny mój mąż, zamordowałeś go, Borges wie o tem również, gdybyś nie odjechał wtedy, gdy dostał zapalenia ślepej kieszki, gdybyś go operował, żyłby do tej chwili, postąpiłeś wbrew obowiązкови lekarza, sam wiesz o tem doskonale, to nie moja wina, nie trzeba było odjeżdżać. Gdzie mój dobry, pocziwy mąż?!

Patrzę na nią jak upiór, krew zbiegła mi z twarzy, zaczynam drżeć jak w gorączce, ledwie się trzymam na nogach, zauważyła zmianę, która we mnie zaszła, patrzy na mnie z triumfem, woła z bezgraniczną wściekłością i nienawiścią:

— Aha, boisz się! Odrzekam się od ciebie,

nie chcę cię znać. Borges twierdzi, że to samo było z wczorajszą przysięgą. Jest gentlemannem, umie obchodzić się z kobietami, można wierzyć jego słowu, jest delikatny i pełen uwagi, kocha mnie oddawna, sam mi to wyznał. Precz, wynoś się razem ze swym psiskiem, — tak długo czekałam i wzamian... — nienawidzę cię, zapłacisz mi za to!

Jestem oszołomiony. Czy to ta sama kobieta, ten sam człowiek? Gdzież się podziela uroda, wykształcenie, elegancja, oddanie, miłość? Fałsz, oszustwo! Co ja tu robię? Trzeba odejść jak najprędzej. Nie oglądam się, jest obrzydliwa i ordynarna, przechodzę przez salon, nietknięta herbata stoi na stoliku, maszynka się jeszcze pali, należałoby ją zagasić, nikt nie pił herbaty, ktoś będzie musiał to sprzątnąć, jakie to śmieszne, jakie wszystko śmieszne, nie spodziewałbym się tego po Neronie, skąd mu to wpadło do głowy, jest jak człowiek, chodzi tak samo jak ja, byliśmy w mieszkaniu, teraz jesteśmy znów na ulicy, człowiek ciągle albo schodzi po schodach, albo wdrapuje się po nich, albo jest na ulicy, to już było kiedyś, ktoś stoi przy oknie i woła, woła bez przerwy, a od ulicy idzie ktoś drugi, to ja wchodzę po schodach, są różne, ciągle różne, raz szerokie, jasne i radosne, to znowu wąskie, ponure, i prowadzą ku nędzy, ku śmierci.

Zatrzasnąłem bramę, coś się stało, coś jest

załatwione, był to również obowiązek, spełni-
łem go nareszcie. A reszta, reszta?... Nienawi-
dzi mnie, grozi mi, coś mi może zrobić? Jest
jak pluskwa, która chce ukłuć; człowiek ją
zgniatą i żółć z niej wypływa.

Lilje zostały, przecież nie były wcale dla
niej przeznaczone, połamała je, miałem wraże-
nie, że pełno na nich krwi, niech się Borges
strzeże, niech się wszyscy strzegą, lilje muszą
być białe, to przecież kwiaty śmierci.

Przygniata mnie jakiś ciężar, jestem wol-
ny, ale czuję niesłychaną pustkę, wolność sa-
ma jest niczem, trzeba ją zmuszać do tego, by
kwitła, wyrok uwalniający nie daje jeszcze
szczęścia, trzeba było pójść za tą dziewczyną,
dowiedziałbym się, dokąd idzie, mógłbym ją
odprowadzić, pomóc — wiedziałbym, dokąd
prowadzi moja droga.

Błądząc znowu po ulicach, przecież mia-
łem już cel, wszystko szło dobrze, byłem wśród
żyjących, chcę do domu, tak długo czekałaś,
przez cztery dni patrzyłaś przez okno i czeka-
łaś, wreszcie odstawiłaś krzesło, nie przelewa-
jąc ani jednej łzy. Jestem pełen tęsknoty, mat-
ka ma dziecko w szeregu żyjących, potem
umiera, a głos jej szuka i woła, woła i szuka
tak długo — aż je znajduje.

Ciemno, ulice zasnuwa mrok, z domów,
z biur, ze sklepów płyną ludzie, zapalono
pierwsze latarnie, wydają się małe, żółte

i okrągłe, światło płynie od dołu, od srebrnego asfaltu, domy drzemią w szaroliljowym cieńnię, mam wrażenie, że idę przez otwarty tunel, w letniem powietrzu jest jakieś zmęczenie, ludzie chodzą jakby pochyleni, jestem na placu Poczdamskim, sygnały, regulujące ruch, podnoszą się i opadają, tłum przelewa się i płynie, płynę z nim razem przez plac, dopłynąłem do dworca, podszedłem do kasy, po chwili wchodzę z biletem w rękę po szerokich schodach, pełno ludzi, niosą w kufrach swój dobytek, oczy ich płoną gorączkowym blaskiem, idę samotny, wydaje mi się, że jestem zupełnie sam pod jakimś ciężkim dzwonem. Przy wyjściu na peron tłum utworzył ciemne koło, barjera opada wreszcie, tłum przepycha się przez wyjście, jak przez wąską szyję, jedni klną, drudzy się śmieją, odzyskawszy wreszcie swobodę ruchów, ludzie biegną z kuferkami, pudełkami i laskami wzdłuż peronu, tylko ja jeden idę powoli, stanąłem przed wagonem, patrzę, jak się obcy, niezgrabny tłum pcha do przedziału, wreszcie powoli wsiadam, w wagonie bieżanina, ścisk, gwałt, wzajemne potrącanie się na wąskim korytarzu, nareszcie wszyscy znaleźli miejsca, poukładali pakunki na górnej siatce, otwierają okno, powietrze w wagonie jakieś nieruchome, ponure, dławiące i jakby pokryte pyłem stuleci.

Siedzę przy oknie, Nero leży u mych nóg,

każę mu zająć moje miejsce, wysiadam, idę jeszcze wzdłuż peronu, mam wrażenie, że zapomniałem o czymś, że powinienem przekroczyć barjerę, wrócić do miasta, może pomyliłem się poprostu... Patrzę na wielki, mdło oświetlony zegar: jeszcze pięć minut. Spoglądam w górę, ku sklepieniu, widzę poszczególne żółte koła świetlne, patrzę poza wielki łuk, który wybiega prosto w ciemność nocy. Na górze i na dole pełno złotych, czerwonych i zielonych świateł... Zamykam na chwilę oczy, coś brzęczy dziwnie dookoła, słyszę podniecony oddech lokomotywy, tuż obok przejeżdża mały wózek z pakunkami ręcznymi, wydając cichy, niepokojący dźwięk, jakiś głos woła: „Keksy“! jakiś inny: „Poduszki, poduszki!“, jakiś mahometanin odmawia głośno modlitwę wieczorną. Jeszcze dwie minuty... Ludzie zbliżyli się do pociągu, ktoś woła: „wsiadać!“, okna opadają, głowy odjeżdżających patrzą wdół, ci, którzy pozostają, spoglądają w górę, na niewidzialny pomost padają ostatnie słowa pożegnania... Stoję sam przy oknie, któż mnie ma żegnać, nie mam nikomu nic do powiedzenia... Pociąg wyprężył się, opuszcza dworzec, przez chwilę jeszcze ciągnie za sobą grupkę ludzi, która idzie wzdłuż peronu, machając chustkami, ocierają łzy, nareszcie wylazł z ciemnego zamknięcia, kołysząc się zgrabnie i prześlizgując przez kilka zwrotnic, złote

i czerwone światełka przerzedzają się coraz bardziej, w oczach mignęły dwa jasno oświetlone dworce przedmiejskie, jakiś pociąg podmiejski, idący po sąsiednim torze, próbuje wyścigu z dalekobieżnym towarzyszem, lecz po chwili rezygnuje z próby, za oświetlonemi szybami siedzą ludzie, widzę małą, czupurną lokomotywę, z komina lecą złote iskry, osnute czerwonym blaskiem.

Zapada zupełna ciemność, od czasu do czasu mignie w niej kilka świateł. Droga wolna, jedziemy gdzieś daleko w głuchą, ciemną noc.

Wracam na miejsce przy oknie, Nero ułokował się znowu pod ławką, zamykam oczy, mam wrażenie, że jestem w pokoju, który płynie przez pola, lasy, łąki... Duszo, jasny blask elektrycznej lampy, zawieszanej pod sufitem, drażni oczy.

Naprzeciw siedzi dziewczyna. Jasne włosy okalają bladą, zmęczoną twarzyczkę, ubrana jest w salopkę, delikatne nóżki tkwią w ordynarnych, żółtych buciskach. Obok jakaś starsza pani, może nauczycielka, pomarszczone policzki wciągają powietrze, nałożyła okulary, zatopiła się w lekturze. Z trzech mężczyzn, jadących w tym samym przedziale, jeden zdjął marynarkę, rozpiął kamizelkę, włożył miękkie pantofle; widzę jego szare, grube skarpetki.

Konduktor sprawdza bilety, jeden z towarzyszy podróży wysiądzie za trzy godziny,

drugi wraz ze starą damą o północy. Patrząc przez okno: ciemno, wiatr chłłoszcze prawy policzek. Cofam głowę, opanował mnie dziwny niepokój. Mężczyzna, siedzący w kącie, zapalił grube cygaro, gryzący dym osnuwa go ciężką, siną mgłą; sąsiad jego złożył ręce na brzuchu, zdaje się, że śpi. Przełazę przez trzy pary nóg, odsuwam szklane drzwi, jestem znowu na korytarzu, zaczynam wędrować wzdłuż pociągu, patrząc w okna przedziałów, za szybami siedzą ludzie, podobni do przedmiotów na wystawie sklepowej, słyszę prowadzone szepceniem rozmowy: gdzieś niegdzie już zupełnie ciemno, śpią... Wracam do swego przedziału. Dziewczyna stoi przy oknie, podchodzę do niej, zaczynamy rozmawiać. Ma dziesięć dni urlopu, jedzie w góry. Mówimy o gwiazdach, które nad nami świecą, o jej pracy, matce, o losie i ludziach, którzy tam, daleko, czuwają jeszcze po wsiach przy samotnem świetle. Niema nas w przedziale, głowy nasze błądzą w nocnej poświacie, zapomnieliśmy o ludziach, którzy za nami siedzą, płyniemy coraz dalej, mijamy oświetlone dworce, światła jakiegoś pociągu tańczą przed naszymi oczami jak złote węże. Znowu ciemność, znowu daleka równina i rozmowa wśród nocy.

Dawno minęła północ, ogarnia nas zmęczenie. W przedziale został tylko jeden podróżny; zdjął obuwie, rozciągnął się na twardej ławce.

Zamykamy okno, nagle jesteśmy znów w ciepłym pokoju. Proszę, aby się położyła, dziewczyna się ociąga, patrzy na mnie niebieskimi, przeczystymi oczami. Jest do kogoś bardzo podobna... Kładę na ławce swój pled, sam siadam w kącie. Leży obok mnie, głowę położyła na mych kolanach, zamknęła oczy, długie, ciemne rzęsy drżą, na bladej twarzyczce wykwita uśmiech. Ależ ja to znam, znam! Nie mogę usnąć, oczy pieką, czuję w głowie głuchy ból, drewniana ściana wpija się w skronie, z przyległego przedziału dochodzi echo rozmowy, podróźny w kącie chrapie, otworzył usta, nos ma ostry i dziwnie biały, na mych kolanach leży jasna głowa obcej dziewczyny, która się uśmiecha. Zupełna cisza. Pędzimy z zawrotną szybkością, po czole śpiącego sąsiada łązi wolno mucha.

Musiałem również zasnąć...

W przedziale już jasno. Góry, które mijamy, drzemią jeszcze w sinej mgle. Ręka opiera się o coś miękkiego, to Nero. Cóż go tak nagle do mnie przywiązało, czy już mnie przestał nienawidzić?

— Nero — wołam półgłosem.

Pies oparł mordę o moje kolana, macha ogonem, patrzy na mnie smutnym, pytającym wzrokiem, liże mnie po rękach. Gładzę go ze wzruszeniem po grzbiecie, jestem niemal szczęśliwy, pies mnie kocha. Dlaczegoż tak

mnie przedtem nienawidził? Zamykam znowu oczy, zapadam w głęboki, mocny sen.

Za chwilę przybędziemy do celu. Pomagam dziewczynie zdjąć walizki z siatki, wygląda teraz brzydko i szaro, towarzyszył podróży wciąga buty na szare skarpetki, pociąg zatrzymał się, jesteśmy.

Oddaję bilet, idę przez ulicę Cesarską w kierunku rynku, pies ociera się niemal o mnie, jakby się bał czegoś, skręcam na prawo w wąskie uliczki. Coś mnie ciągnie, idę zupełnie mechanicznie, wszystko wydaje mi się znane, a równocześnie nieskończenie obce. Właściwie nie chciałem tu wcale przyjechać, miejsce moje gdzie indziej; leży tam na otomanie i śpi, zanim się obudzi, wróć do niej.

Stoję przed starym kościołem, chodzę wokółko; widziałem już te domy przedtem, może idę znowu w kierunku dworca; ta włóczęga po wąskich uliczkach nie ma sensu, pies zmęczył się również, idzie coraz wolniej, kręci głową na wszystkie strony. Na rogu siedzi stara kobieta, spożywa w promieniach słońca swoje skromne śniadanie. Nero staje przed nią, macha ogonem, staruszka patrzy nań rozpromieniona, gładzi i klepie go po ciemnej sierści, odgryza z trudem kawałek chleba i daje mu. Nero porwał chleb, wyciągnął się przed straganem, ukrył mordę w łapach, stara pochyła się nad

nim, wygląda to, jakby prowadzili rozmowę. Gwizdnąłem, pies nie rusza się z miejsca. Muszę wrócić i zabrać go. Na straganie leżą mydła, papierosy, kolorowe szklanki; kupuję parę papierosów. Starucha kłania się i chichocze: — „Może zieloną lub brązową wstążkę dla psa?” — Kupuję obie wstążki, płacę. Nero wstaje z niechęcią, pręży się w słońcu.

Zaczynam znowu błądzić po mieście, nareszcie zbliżam się do celu. Zaglądam do kilku sklepów, wreszcie skręcam znowu na prawo. W małej, bocznej uliczce mieści się piekarnia; wchodzę, mały dzwonek przy drzwiach rozdzwonił się srebrnym dźwiękiem i nie może się uspokoić, w koszu leżą świeże bułki, na białej, gładkiej porcelanie stoją babki i torty. Wyciągam rękę przez ladę sklepową, biorę jedną z bułek, łamię ją.

— Niema u nas zwyczaju, by goście obsługiwali się sami, — powiada mały sprzedawca, podnosząc z powagą ciemne brwi.

— Wchodząc do sklepu, powinienes zdjąć fartuch, — odpowiadam. — A bułki są za mało wypieczone.

Chłopak zmieszał się w pierwszej chwili, poczerwieniał, wreszcie odpowiada ostro:

— Majster zabronił surowo zabierać cokolwiek przez ladę sklepową.

Uspokoilem się, chwytam mnie śmiech, pro-

szę o kawałek babki, uważam, że babka jest dobra i smaczna. Pytam go:

— Czy obecny majster jest człowiekiem dobrym? Wielkie wprowadził zmiany?

Chłopak nabiera zaufania:

— Nie, nowy majster pozostawił wszystko, jak było, chce tylko rozbudować oficynę; jest jednak skąpy, poprzednik miał znacznie lżejszą rękę, płacił większą pensję, był tylko zbyt ambitny i zapalczywy, czasami...

— Ale go lubiłeś?

— Bardzo. Od roku już nie żyje. Znał go pan?

— Nie, nie, to dobrze, że go nie znałem. Ile kosztuje babka?

Płacę potrójną cenę, chłopak patrzy ze zdziwieniem, opuszczam śpiesznie piekarnię.

Znowu ulica. Zamykam oczy, mam wrażenie, że mnie ktoś woła po imieniu, uszedłem kilka kroków z zamkniętymi oczami, idę w cień, chłodno mi. Znalazłem się przed furtką, na lewo prowadzą stare, kręcone schody drewniane. Gwiżdżę na psa, niema go, wychodzę, znowu leży w słońcu, wołam go po imieniu, uparł się i nie rusza się z miejsca, czy mam go uderzyć? Za to, że chce leżeć w słońcu? Niech sobie leży! Wracam do cienia, idę na górę po skrzypiących schodach, mam wrażenie, że dużą mą okrywa ciężka, czarna chusta, nie mogę złapać oddechu, ogarnia mnie bezgranicz-

na trwoga, nie mogę postąpić ani kroku napród, stoję w ciemnościach nieruchomo, przede mną uchylone drewniane drzwi. Nie mam odwagi zapukać, jestem jakby sparaliżowany, wreszcie przykładam do drzwi ucho, tam się coś dzieje, trzeba się śpieszyć. Brak mi sił, słyszę jęki, westchnienia i ciche łkania, basowy głos męski mówi o czymś poważnie i rzeczowo, słyszę plusk wody, potem następuje pauza, przerywana jękami, chcę się cofnąć, wrócić, nie jestem przecież złodziejem! Nagle drzwi się otwierają, wychodzi przez nie jakiś człowiek z małą walizką w rękę, nakłada okulary i mówi półgłosem w kierunku pokoju:

— Idę do kliniki, gdyby coś zaszło, proszę mnie wezwać. Proszę się zachowywać spokojnie i za wszelką cenę oszczędzać jej wzruszeń!

Niema odpowiedzi. Nieznajomy człowiek schodzi po schodach, mija mnie; stoję w cieńnię, więc mnie nie widzi. Mam wrażenie, że za chwilę zacznę krzyczeć, nie mogę się dłużej ociągać, tam ktoś leży na kanapie i czeka na mnie z zamkniętymi oczami. Gdy się obudzi, będę stał obok, nie zauważy wcale, że mnie nie było.

Stoję w drzwiach małego, jasnego pokoiku - mansardy, światło mnie razi, za długo stałem w ciemnościach. W pierwszej chwili nie widzę nic, słyszę tylko cichy krzyk i zaraz po nim głuchy dźwięk padającego ciała, bie-

gnę szybko w kąt pokoju, przede mną leży na ziemi dziewczyna, trzyma się krzesła i jęczy, biorę ją na kolana, otwiera oczy, drży na całym ciele, patrzy na mnie z przerażeniem.

— Teraz nie, — bełkocze niewyraźnie, wiążąc się w męce, — teraz nie wolno panu nic złego mi uczynić. Zwolniono mnie na podstawie prawomocnego wyroku, mógł się pan pomylić, z pewnością się pan pomylił, lecz teraz, teraz... — potrzebuję wszystkich sił, gdyż tam... — niech pan przyjdzie, gdy wyzdrowieje, wtedy wszystko będzie mi obojętne, wtedy powiem, co pan zechce, umrę nawet. Tylko nie teraz, nie teraz. Wyznam wszystko, to takie straszne: nienawidziłam go, ręce wyciągnęły się do jego szyi zupełnie odruchowo, dusiłam go tak długo, aż mu oczy wypływać zaczęły, ugryzłam go w szyję, wpiłam się ręką w jego skórę, popłynęła krew, oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy, mięśnie szyi napięły się jak struny, nie wypuszczałam go, dopóki się zupełnie nie uspokoił, nie wiedziałam, co czynię. Jakiś obcy nieznany pies obwąchiwał mnie jeszcze w bramie, nagle zjawił się w pokoju, potem uciekł w popłochu. Może to diabeł, może... Oto wszystko. Jestem morderczynią, pan mnie uratował, proszę robić ze mną, co się panu podoba, wszystko mi jedno, życie nie ma dla mnie sensu ani celu. Ale teraz

jeszcze muszę żyć, muszę, nie jestem jeszcze gotowa!...

— Emciu, — szepczę jej do ucha — Emciu, co też ty wygadujesz, przecież nie poto przychodzę, nie poto. Tam w pokoju leży matka, prawda?

Wstaje, utkwiała we mnie nieruchomy wzrok, patrzy z lękiem, zbladła jak trup, trzyma chustkę przy ustach, mówi drżącym głosem:

— Pan mi nic złego nie zrobi, będzie pan dobry dla mnie? Dlaczego mnie pan ratował, skąd tyle dobroci dla mnie?

— Matka w tamtym pokoju...?

— Tak, bardzo chora, nie wiem, co jej jest, przed chwilą był lekarz, określił chorobę jakąś łacińską nazwą. Pan chce ją zobaczyć? Skądże się pan dowiedział?

— Wołała mnie.

— Matka? Kiedy? Przez kogo?

— To było dawno, przeszło rok temu, — odpowiadam, zamykając oczy.

Cofa się o kilka kroków, na twarzy jej znowu przerażenie, rozpacz i lęk. Nie wierzy mi.

— Niech pan z nas nie żartuje — to niemożliwe, by Bóg chciał mnie tak ukarać. Zaklinam pana na wszystkie świętości jako lekarza, który mi wyświadczył tyle dobrego, niech

mi pan pomoże, niech mnie pan nie zostawia samej!

— Chodź — odpowiadam i dotykam chłodnej ręki.

Na progu zatrzymuję się, kładę rękę na jej ramieniu, głos mój drży od wzruszenia, trudno mi mówić.

— Emciu, — wykrztusiłem wreszcie — ufaj mi, nie pytaj o nic, pozwól, bym tam wszedł sam. Gdy pomoc okaże się zbyteczna — gdy umrze — —

Nie mogę mówić więcej, głos mi się łamie, nie czekam odpowiedzi, nie widzę jej twarzy, zaledwie zdaję sobie sprawę, że stoi obok. Wchodzę do przyległego pokoju, zamykam za sobą drzwi, jak płytę grobową. Małe okienko uchylone, na podwórzu gra katarynka, na podłodze pełno słonecznych kręgów, zagradzają mi drogę, depczę je grubemi butami, wydaje mi się to profanacją, przecież to świątynia! Tam, w kącie, stoi łóżko, tam ktoś oddycha głucho i ciężko, jakieś płuca walczą, jakieś serce się dręczy, umiera człowiek...

Matko...

Jestem przy łóżku, ukląknę, świat się tu kończy. Położyłem ręce na białej kołdrze, dotykam jej rąk. Siwe włosy, blada twarz, ręce, które szukały, włosy, które przyprószyła siwizna pod wpływem oczekiwania, troski i nę-dzy!

Podkładałam poduszki pod plecy, podnoszę biedne, małe, drżące ciało, niech leży miękko i wygodnie. Zwilżam chustkę, kładę ją na pomarszczone czoło. Jestem przecież lekarzem, wiem czym jest cierpienie i śmierć, znam środki, które łagodzą ból i przynoszą pociechę.

Otworzyła oczy, podniesione źrenice skierowała ku sufitowi, błędzą dokoła, nie widzą mnie, nie widzą!...

Pochylam się, kurczowo ujmuję poduszki rękami, zbliżam twarz do jej ucha.

— Matko — szlocham. Głos odmawia mi posłuszeństwa, gorące łzy płyną strumieniem po policzkach. — Matko, oto jestem. Popatrzże na mnie, nie czekałaś na próżno. Byłem długo w drodze, szukałem cię długo, było mi ciężko, wszyscy się sprzyśięgli przeciw mnie. Nie jestem już człowiekiem, wszystko tonęło we mgle, byłem zawsze rozdwojony, nie znam siebie samego, nie mam obok siebie nikogo, jestem własnym cieniem i nie widzę siebie samego — ale ty jesteś, byłaś zawsze, byłem ciągle w drodze do ciebie, spałaś tak długo. Leżałaś tu, a ja błdziłem, ale teraz jestem w domu, przy tobie, musisz otworzyć powieki i wysłuchać mnie. Wróciłem. Wysłuchaj mnie jeszcze raz, jeszcze raz...

Obsypuję jej ręce i ciało pocałunkami, — czoło ma chłodne i wilgotne — przykładam ucho do serca, bije cichutko, ledwie dosłyszał-

nie, wkrótce zupełnie bić przestanie. Górne części ciała walczą jeszcze ostrym oddechem, wydobywającym się z rżących piersi przez wpółotwarte usta, na ostrych policzkach skóra i kości, nos chłodny i ostry, nie rezygnuję, natężam całą moc, musi usłyszeć:

— Matko, matko, matko!...

Oczy nagle otwierają się, spojrzwały na mnie, pełno w nich blasku i lśnień, widzą poprzez ciało, widzą mnie! Wargi drgnęły, chce podnieść rękę, położyć ją pieszczotliwie na mej głowie, w połowie drogi ręka opada, oddech się urywa... Serce mi bić przestaje, w pokoju zapanowała przeraźliwa cisza. Piersi raz jeszcze unoszą się w straszliwej walce, usta wykrzywia skurcz obrzydzenia, powieki opadły, twarz bieleje, ziębnie. Koniec.

Stoję jeszcze i nadśluchuję. Gdzie ona jest? Przed chwilą była człowiekiem, matka, dlaczego się nie rusza, dlaczego usta nie wymówią już ani słowa? Wszystko się skończyło, znikło ciepło i serdeczność, znikło życie, pozostało zimne ciało.

Pocóż tu stoję, czego chcę? Jestem obcym człowiekiem, tam leży martwa obca staruszka, nie wiem, co mnie tu zagnało. Stoję w małym, brzydkim pokoju, za oknami pełno słońca i powietrza, z ulicy dochodzi krzyk dziecka, podchodzę do okna, patrzę, Nero leży w słońcu, otoczony gromadą dzieci, katarzyniarz bierze

katarynkę i małąkę na plecy i idzie do sąsiedniej bramy. Zamykam okno, spuszczam białe rolety, pokój tonie w szarym półcieniu, jest zupełnie cicho, podchodzę jeszcze raz do łóżka, leży w niem martwy człowiek, stara, biedna kobieta, nie mogłem jej uratować.

— No i cóż? — słyszę trwożliwy szept z sąsiedniego pokoju. — Jest jakaś nadzieja, przypuszcza pan...

— Przed chwilą umarła — odpowiadam. — Trzeba zawołać lekarza, który leczył chorą.

Wpada do pokoju, z krzykiem osuwa się na podłogę przed łóżkiem.

Stoję jak wryty. Smutne to, że ludzie umierają, ale nikt od śmierci uciec nie potrafi.

Podnoszę płaczącą, jest zupełnie złamana, opiera się o moje ramię, odruchowo gładzę jej włosy. Jakże nieszczęśliwi są ludzie, jakże nieszczęśliwy jestem ja sam!

Co robić, nie mogę jej pomóc, wypuszczam ją z objęć, kładę na zimnym kominku kilka banknotów, nie patrzę na nią, wychodzę, po chwili jestem w słońcu.

Gwiżdżę na bernardyna, zrywa się uszczęśliwiony, macha ogonem. Słońce, słońce! Nie czuję słońca. Ludzie, których spotykam, nie patrzą na mnie wcale, nikt nie wie, gdzie byłem, nikt nie wie, że wychodzę o tak wczesnej porze od zmarłej. Wszyscy są czemś zajęci, śpieszą się niesłychanie. Poco? Przecież i tak

pewnego dnia każdy z nich leżeć będzie w pokoju, przecież słoneczne plamy na ziemi muszą rozplynać się w cieniu.

Jest we mnie zupełna cisza. Nie odczuwam ani smutku, ani szczęścia, ani słońca, ani cierpienia, jestem tylko nieskończenie zmęczony. Wszystko napróżno, napróżno...

Podczas gdy tu idę, w małym pokoiku na górze leży na białym łóżku stara kobieta. Chciałbym także tak leżeć. Ktoś padnie z płaczem na podłogę, uklęknie przed łóżkiem, a jakiś obcy człowiek, stojący obok, powie: — „Smutne to, że ludzie umierają, ale nikt od śmierci uciec nie potrafi“.

Dokąd idę? Ślady zatarte, głosu, który był za mną, nie słyszę, otacza mnie cisza, sznur oderwał się od podstawy, krążę dokoła jak błędny. Niczego już nie pragnę, niczego nie szukam. Chciałbym tylko znaleźć kraj, w którym będę mógł spocząć, chciałbym odszukać ziemię, która mnie skryje cieniami pokoju. —

Na zachód, na zachód!... Siedzę w pociągu, już dawno minęliśmy granicę, francuskie mundury, francuskie wsie, w przedziale pełno ludzi, mówią innym językiem, wsiadają i wysiadają, jedziemy małą doliną wzdłuż rzeki, mijamy pokryte zielenią pagórki, szerokie pola, malaryczne miasta — nie patrzę na okolicę, siedzę w kącie przedziału jak w grobie, zdaje mi się, że idę przez obszerne, podziemne

kruźganki o niskim, przygniatającym suficie, oto okopy, granaty wybuchają dokoła, kroki dźwięczą samotnie wśród wilgotnych, kamiennych ścian, zapadł siny mrok, zmęczone światło pada na kilka rysów ściany, dokoła pełno trupów, błąkam się od grobu do grobu, pukam w każde wieko, pochylam się nad każdym nazwiskiem, trzymam w ręku małą świecę, płomień drży i migoce, od ścian wionie lodowaty chłód, nie mogę odczytać nazwisk, brak w nich poszczególnych liter, czas podziurawił litery, napisy porosły zieloną pleśnią, pozacieraly się, nie mam czasu, by zatrzymać się choć na chwilę, ciągle idę dalej, dalej, nogi mam całe w ranach, uszy głuchną pod wpływem jednostajnego odgłosu kroków, ubranie opada z ciała, jestem nagi, skóra moja staje się zbiorowiskiem krost i skorup, opadają ze mnie wraz z mózgiem, mięskami, nerwami, otrzewną i kiskami, tylko serce pozostało, drży i dygoce jak mały, czerwony płomień, pochyliło się i szuka czegoś bez końca, bije ustawicznie, miarowo, a tak chciałoby odpocząć, tak jest nieludzko zmęczone...

Zasnąłem wśród białego dnia? Okno przedziału otwarte, nie patrzę przez nie, nie widzę przecudnej okolicy, kwitnącej ziemi, błogosławionych pól, to przecież nie dla mnie, inni będą zbierać plony, inni tu siali, nie zazdroszczę im, nie zazdroszczę nikomu, to było

dawniej, lecz minęło, każdy niesie własny swój los, nikt nie jest szczęśliwy, nie należy do świadczących umarłych. Wprawdzie istnieje wola, która staje dęba, pragnie wyskoczyć z ram, poza siebie, chce złamać los, być bogiem, chce panować nad ziemią, nad nędzą, ciałem i śmiercią — ale i ona opada, bo jest związana i uwięziona wraz z człowiekiem samym. Nie potrafi się wyzwolić, powstaje przeciw niemu, chce go chwycić w swe ręce, człowiek cofa się, ucieka, i ginie wkońcu z braku tchu.

Ogarnęła mnie olbrzymia, nieokreślona tęsknota, nie będę spać, chcę popatrzeć na własne życie, chcę zobaczyć je aż do końca, wskoczyłem w rzekę i muszę płynąć z prądem, dopóki woda nie wyrzuci mnie na brzeg... Siedzimy w pociągu, życie przesuwa się obok nas jak ten pejzaż, obsypany pagórkami, polami, miastami i ludźmi, siedzimy zawsze tylko w naszym miejscu, siedzieliśmy zawsze tylko w naszym kącie i patrzyliśmy nieruchomo przed siebie, wiecznie to samo drzewo rani nasze plecy, wiecznie ten sam drugi człowiek, druga maska, siedzi obok nas, tylko raz pociąg się zatrzymuje... Nareszcie jesteśmy na miejscu, możemy wysiąść.

Gdzie jestem? Wszystko tonie w półmroku, okolica się zmieniła, pełno zrujnowanych kościołów, rozwalonych wsi i gruzów, długi rów przecina pola, oto drut, zgniłe deski

i drzewo, tu płynęła krew, tu szalało morderstwo, piekło i oblęd, tu ludzie siedzieli pod ziemią jak krety, szpiegowali się wzajemnie i rozdzierali na sztuki, na całej dalekiej przestrzeni, ani jednego drzewa, liście opadły i gniją, gołe pnie poczerniały, niema tu domu, któryby się nie zawalił wśród krzyków rozpacz, powietrze drżało od gwizdu granatów, sam siedziałem tu gdzieś, siedziałem pod ziemią. Kto? Ja. Ja? Co to jest, gdzie jestem, czy pociąg się zatrzymał, czy to kres podróży?

Tak, chodzę po ziemi, wdrapuję się na wzgórze, to Verdun, to wzgórze Douaumont. Opuszczam miasto, zrujnowane pociskami, dookoła pełno rusztowań, wszędzie wznoszą nowe budowle, pełno nowych murów, żółtych jeszcze, gołych ścian. Nie zwracam na to uwagi, słyszę ciągle płacz i łkanie umarłych, widzę linję ognia, która opłótła miasto. Tu płonął świat, tu miliony ludzi spopielwały i utonęły we krwi, tu leżą nasi bracia, tu leży Europa, ludzkość cała, tu leżę ja, własne moje życie!... Groby, groby, groby, krzyż przy krzyżu, mogiła obok mogiły, czarne krzyże Niemców, białe Francuzów, czarne i białe kamienie... Któż trzyma w ręku tę szachownicę, kto rzucał po polu kamieniami, — możemy je zamienić — kimże jest Bóg, który losy nasze nagina — wbrew woli naszej? Oto droga, prowadząca pod górę, jeździli po niej z armatami, wieźli

dla spragnionych wodę, która zamieniła się w krew, życie szło tędy pod górę i wracało pod postacią śmierci... Jestem na wzgórzach, nie ma tu źdźbła trawy, żadnej zieloności, ani jednego krzewu, wszystko szare, jakby gładko ogolone, wiatr nie wieje, cisza, cisza ostateczna, na dole ciągnie się Fleury, nie, na dole ciągnęła się Fleury, była wioska, białe domy, było życie, ciepło, miłość... Gdzie jest Fleury? Została tylko tablica z napisem: FLEURY, a za nią rowy, ziemia, pył... Na górze leży Douaumont. Pełno tam cementu, kawałów ziemi, zardzewiałej stali i żelaza, śmierć szalała tu poprostu, strzelali Niemcy, strzelali Francuzi, teraz leżą w ziemi i jedni i drudzy, wojna się skończyła, w grobach zostali tylko ludzie, niema nieprzyjaciół, niema państwa, niema przeznaczeń, różnic, oficerów, szeregowców, bogaczy i robotników. Wszyscyśmy nadzy, śmiertelni ludzie.

Coraz ciemniej. Stoję na górze przed pomnikiem, który przedstawia lwa, przebito go strzałą, lew pochylił ciężkie, marmurowe czoło ku ziemi i patrzy w piasek, spostrzegam na ziemi coś ciemnego, pochylam się, jakiś twarde przedmiot, patrzę, to kawałek skóry, rzemień tornistra, pełno na nim plam od starej, wyschniętej krwi. Rok minął, a plamy nie ustąpiły... Odrzucam rzemień, pies puścił się za nim w podskokach, szczeka i ugania jak sza-

lony, zmienił się nie do poznania, już w pociągu kręcił się jak fryga, przechodził z miejsca na miejsce, wychodził na korytarz, zbliżał się do okna, węszył, był niezwykle podniecony, od czasu do czasu wracał do przedziału, przypadał do mych kolan, przysuwał do mnie swe drżące ciało, wywieszał język, kładł mi pysk na kolanach, zamykał oczy, miałem wrażenie, że płacze, chwilami jęczał żałośnie, gładziłem go po głowie... Teraz nie zwraca na mnie uwagi. Wziąłem go na rzemyk, z niesłychaną szybkością ciągnie mnie przez pola, płoty i druty, pochylił nos ku ziemi, jęczy, skomle i szczeka, nie zwraca uwagi na moje wołania, kasa dokola, piana leci mu z pyska, nie mogę go utrzymać, nagłym ruchem wyrywa mi się z ręki, podskoczył wysoko, pędzi naprzód, wlecze ze sobą rzemyk, potyka się, po chwili znika w rowie, w którym pełno wody, rzuca się w pław, dotarł do Douaumont, znikł mi z oczu.

Słońce zaszło, powoli zapada mrok, oziębia się, ja się snuję wciąż po wzgórzach, pochyliłem głowę ku ziemi jak pies, pełzam raczej, niż idę. Czego szukam? Czy idę tylko za śladami psa, czy szukam go? A może szukam człowieka, może chodzi tu o mnie samego? Nie widzę prawie nic, niczego nie odróżniam, potykam się o krzaki, deski i druty, do nóg przywiera coś ciepłego i lepkiego, mam wrażenie, że to krew, jest jeszcze ciepła, musiałem

ruszasz się? Cóżto jest, cóżto patrzy tak na mnie, boję się, oszaleję, jestem sam z psem, który postradał zmysły, który leży na mnie, na mojej piersi... Może i on jest trupem? Jeżeli tak, niech zgnije, niech się rozsypie w proch, niech...

Biegnę, pędzę, padam, podnoszę się znowu, noga boli, to nic, żebym tylko znalazł drogę, żeby tylko nie spędzać nocy w tem straszmem królestwie śmierci! Zdaleka dochodzi skomlenie, podobne do krzyku dziecka. To człowiek woła o ratunek, to umarli wołają pomocy — chcą ujrzeć światło! Jeszcze jeden przeraźliwy krzyk — i cisza. Tylko pies wiedział, co ze mną jest, wiedział lepiej ode mnie, nie zobaczę go już więcej, to był jego ostatni krzyk. Może rozprysnął się w drobne kawałki, może dusza jego zamieszkała w ciele trupa i krzyczy, może przybiegnie jeszcze i zacznie znowu chodzić za mną krok w krok... Nie, nie chcę, niech zostanie przy umarłych, może sam jest trupem, może ja jestem trupem, lub upiorem, snującym się pośród krzyków? Naprzód, naprzód, precz stąd, trzeba uciec od siebie, trzeba wrócić do ludzi, do Grety! Droga, żwir, kamienny lew, wszystko kamienne, wszystko martwe, sam jestem trupem! Jeszcze jedno skrzyżowanie dróg, oto miasto, głosy, światła, muzyka, domy, ulica — jestem uratowany! — —

Jak długo mnie nie było? Godziny, dnie? Czy leży jeszcze na kanapie, czy śpi jeszcze? Nie powinienem był odchodzić, może nie zauważyła tego wcale? Tak, na pewno nie zauważyła, śpi jeszcze ciągle. Stanę przy niej, ujmę ją delikatnie za rękę, zegar będzie cykał miarowo. Otworzy oczy, spyta z uśmiechem:

— „Spałam długo? Cały czas tu siedziałeś?

— „Tak, — skłamię — tak, trzymałem twą rękę w swej dłoni, czekałem, aż otworzysz oczy, może myślami byłem daleko, daleko, to przecież może się zdarzyć, gdy się tak siedzi całe godziny, ale byłaś ciągle obok mnie, siedziałem tu ciągle, trzymałem cię za rękę i czuwałem nad twoim snem, nie wyjdę nigdy, nigdy, bo cię kocham, Greto, bo cię kocham!...

Stoję przed bramą, wszystko było upiornym, bezładnym koszmarem, teraz się to zmienia, wypocznę pod wpływem jej oczu, nauczę się śmiać czysto i pogodnie, jak ona, będę — miał dziecko. Na Boga, zapomniałem, czy to możliwe, by człowiek mógł o tem zapomnieć! Czy się jej coś nie przytrafiło, była przecież sama, mogła wstać i upaść, mógł ktoś przyjść i stanąć na progu, mogło przeznaczenie stanąć na progu!... Jednym susem wbiegłem na górę, pociągam gwałtownie za dzwonek, mam wrażenie, że słyszę głosy, krzyki, bieganinę. Cóżto jest, czy znam ten głos? Greta? Nie, to

mężczyzna. Szyba, szkło, depczę je nogami... Ciągnę znowu za dzwonek tak mocno, że sznur pęka, dlaczego nikt nie otwiera? Walę pięścią w drzwi, nareszcie rozlegają się powolne, ciężkie kroki, ktoś odsuwa rygiel, — to męskie kroki, gdzież jest stara? — stoi przede mną Borges, jest bardzo blady, patrzy na mnie z ironją. Z pokoju słychać głos Bussy:— „Wpuść go, jeżeli koniecznie chce wejść.“ — Chwytam Borgesa za ramię, nie nie rozumiem, nie mogę zebrać myśli, wreszcie mówię napół przytomnie:

— Dlaczego pan tu stoi, skąd się pan tu bierze, czego pan tu chce, gdzie — Greta?

— W pokoju.

— Dlaczego zagradza mi pan drogę? — pytam z pasją. — Kto panu pozwolił...

— Pan tu nie wejdzie, ta kobieta należy tylko do mnie, potrafię ją obronić przed — zbrodniarzami.

Cofam się, patrzę nań spokojnie, jakgdybym go widział po raz pierwszy, i mówię:

— Gdzie Greta? Pan mnie przecież nie nie obchodzi, nie znam pana wcale. Gdzie jest Greta?

— Tam, w pokoju, — odpowiada, a ramię drży w ciągłym skurczu, — wiemy o wszystkim. Bussy opowiedziała wszystko. Pan ją złośliwie opuścił, pan shańbił honor lekarskiego stanu, pan jest mordercą, prze-

czuwałem to oddawna, szukałem tylko dowodów, Bussy mnie kocha, wyznała wszystko, już my się z panem rozprawimy.

Wyciągam rękę ku jego piersi, cofa się o krok i mówi:

— Wszystkie pańskie wysiłki są daremne. Z Bussy nic mnie nie łączy, udawałem, że ją kocham, aby pana zdemaskować, teraz wiem wszystko, to mi wystarczy. Greta wie już o wszystkim, kocham ją, zemdlała pod wpływem mych słów, ocieka krwią. Dziecko... Nie chce wychowywać zbrodniarzy, może lepiej będzie, gdy umrze.

Nie wiem, czy krzyczałem, czy mi oczy nabiegły krwią, czy chwyciłem za młot, czy też za zwykłą deskę, wiem tylko, że podniosłem do góry swą ciężką łapę i wałnąłem go prosto w twarz, że się zwałił na podłogę, że uderzenie było straszliwe i krew mu płynąć zaczęła z ucha i oka. Podeszedłem do drzwi, pchnąłem je mocno, jestem w pokoju, cóż mnie to obchodzi, że blada jak trup Bussy zaczyna wrzeszczeć przeraźliwie? Przecież na łóżku leży Greta! Umarła? Wargi ma białe, wielkie, szeroko otwarte oczy patrzą gdzieś nieruchomo, co się dzieje z moją ręką, wypuszczam z niej narzędzie, padam na kolana — ostatnim wysiłkiem podnosi drżącą, przezroczystą rękę, broni się, chce mnie odepchnąć. Nie, nie!

— Greto, — wołam w najwyższej rozpacz — to wszystko kłamstwo, to nie moja wina, nie jestem przecież sobą, nie uczyniłem tego, nie jestem mordercą, wtedy zrobił to tamten, cóż mnie to obchodzi, niech załatwi to jakoś sam ze sobą, kocham tylko ciebie, zamordowałem go dla ciebie, nie puszcze cię, jesteś moją żoną, noszę jego nazwisko, i teraz mordowałem jedynie ze względu na to nazwisko, jedynie dlatego, że on jest mordercą, krzywo-przysięzcą, zbrodniarzem, a nie ja! Kocham cię, kocham cię całą swoją istotą, całą duszą, nie odtrącaj mnie, nie opuszczaj teraz, gdy już znasz tajemnicę, nie miałem odwagi wyznać jej przed tobą, byłem tchórzem, teraz za późno, teraz ktoś nie żyje, ale to nie moja wina, samo się stało, ta kreatura tego nie rozumie, ale ty zrozumiesz z pewnością, pies wiedział o tem od pierwszej chwili, zapytaj go, on pierwszy przejrzał, nie żyje już, leży gdzieś wśród ciemności, przebaczył mi, nie będzie mnie nienawidził. Musisz żyć, musisz! Tyle straciłem, ciągle chciałem wydstać się poza siebie, ale się nie udawało. To krzyżująca niesprawiedliwość, bo dlaczegoż tamten jest oficerem i człowiekiem bogatym, a jam proletariuszem? Nie, jestem tym i tamtym, jestem człowiekiem wykształconym, lekarzem, wyzywam los, szczęście, ale okazuje się, że to szczęście jest tak samo pełne cier-

pień i mąk, jak tamto, obydwaj przeznaczenia są równe, cóż mi przyszło z tej zamiany, człowiek żyje swoim życiem bez względu na ramy. Greto, nie puszczę cię, nie mogę cię puścić, nigdy, nigdy!

Krew z niej płynie, dwie egzystencje walczą ze sobą, jako lekarz mogłem coś poradzić, ale zabrakło mi sił, patrzyłem tylko na jej twarz, chciałem z niej wyczytać, czy mnie jeszcze kocha, czy mi wierzy, czy mi przebacza. W pewnej chwili ręka jej drgnęła w moim kierunku i nagle wszystko wydało mi się takie znajome — w sąsiedztwie tej ręki byłem kiedyś szczęśliwy... Cóżto? Twarz jej błędnie coraz bardziej, blask oczu gaśnie powoli, jeszcze kilka lekkich drżeń i wszystko nagle się kończy. Podeszedłem ku drzwiom, nie odwracam się, czuję, że Bussy chce mnie zatrzymać, że u wezłowia łóżka znowu stoi zupełnie obca kobieta, której głos ledwie pamiętam...

— Oto stoję przed wami, panowie sędziowie, róbcie ze mną, co chcecie, żądajcie ode mnie, czego chcecie, tylko — pozostawcie mi nazwisko, paszport. Leży tu w kieszeni, nad sercem, dlaczego mi nie wierzycie? Oto jest, oto go macie, to jedyna rzecz, którą mam do oddania... Cóż się ze mną dzieje, co ja robię? Posiwałem, skórę mam żółtą, czuję się zmę-

czony, ledwie się trzymam na nogach, mam
wrażenie, że mnie przyciskają olbrzymie,
ciężkie kamienie, nie mogę oddychać. To prze-
cież ziemia, leżę pod ziemią, duszę się, pomóż-
cie mi, panowie, mam tysiąc lat, nie jestem
już człowiekiem, niema mnie tu wcale, dokoła
pełno krzyżów, ziemia jest czarna, leżę w niej
już bardzo dawno i zażywam pokoju...

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

~~BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu~~
w Zamościu.

UKAZAŁ SIĘ

Ilustrowanej Biblioteki

KAROLA MAYA

Tom I

KRÓL NAFTOWY

POWIEŚĆ Z DZIKIEGO ZACHODU

Około 650 stron druku

BOGATO ILUSTROWANE LUKSUSOWE
WYDANIE

Papier bezdrzewny .: .: 17 barwnych ilustracyj

Cena egz. w kartonie Zł. 10.—

w ang. płótnie Zł. 12.—

UKAZAŁ SIĘ

Ilustrowanej Biblioteki

KAROLA MAYA

Tom 2

Błękitno-purpurowy
MATUZALEM

SENSACYJNA POWIEŚĆ CHIŃSKA

Około 550 stron druku

BOGATO ILUSTROWANE LUKSUSOWE
WYDANIE

Papier bezdrzewny . . . 14 barwnych ilustracji

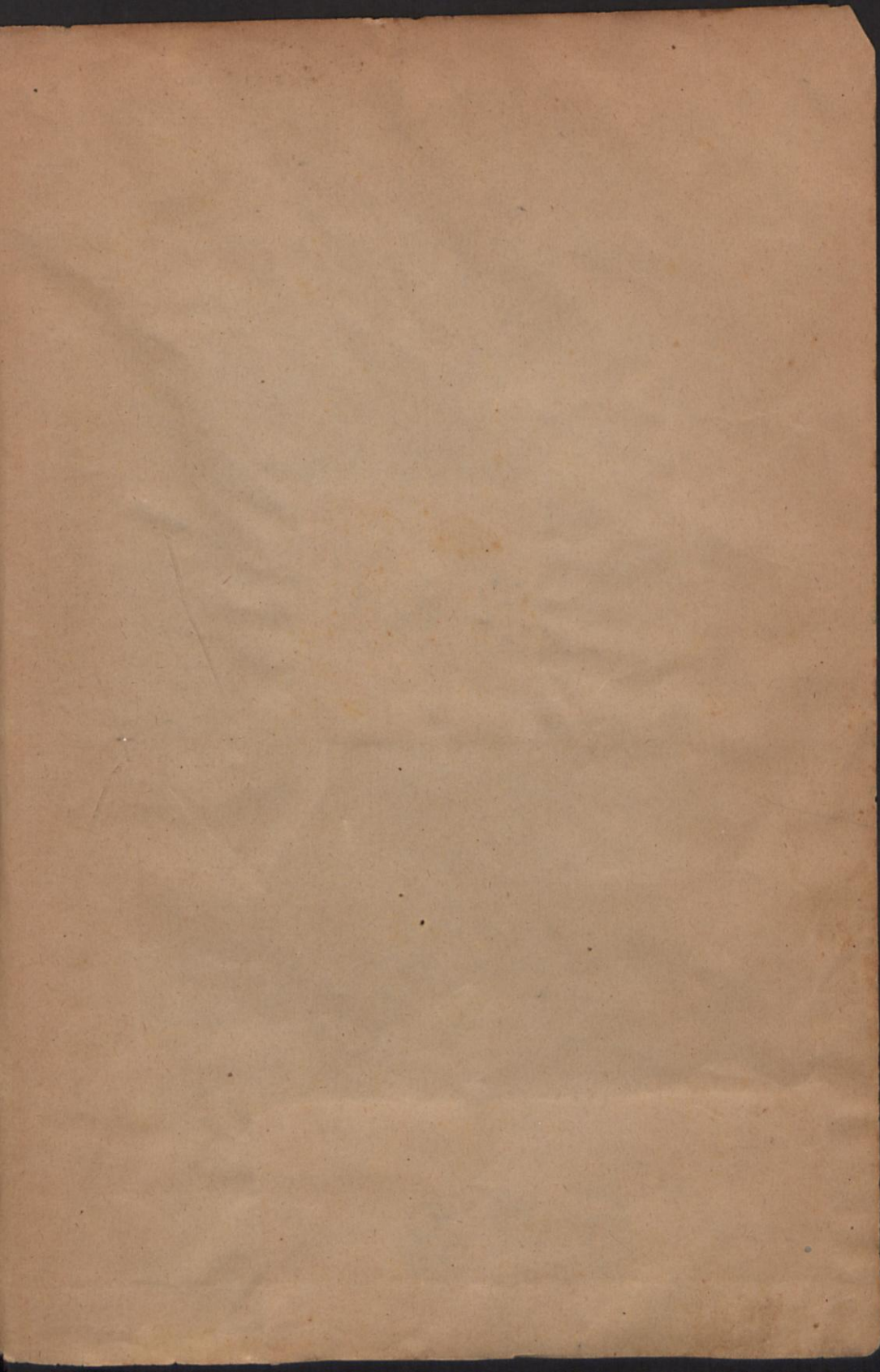
Cena egz. w kartonie Zł. 9.50

w ang. płótnie Zł. 11.50

WARSZAWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
ORIENT R. D. Z. EAST

Redakcja i administracja w Warszawie, Prosta 17

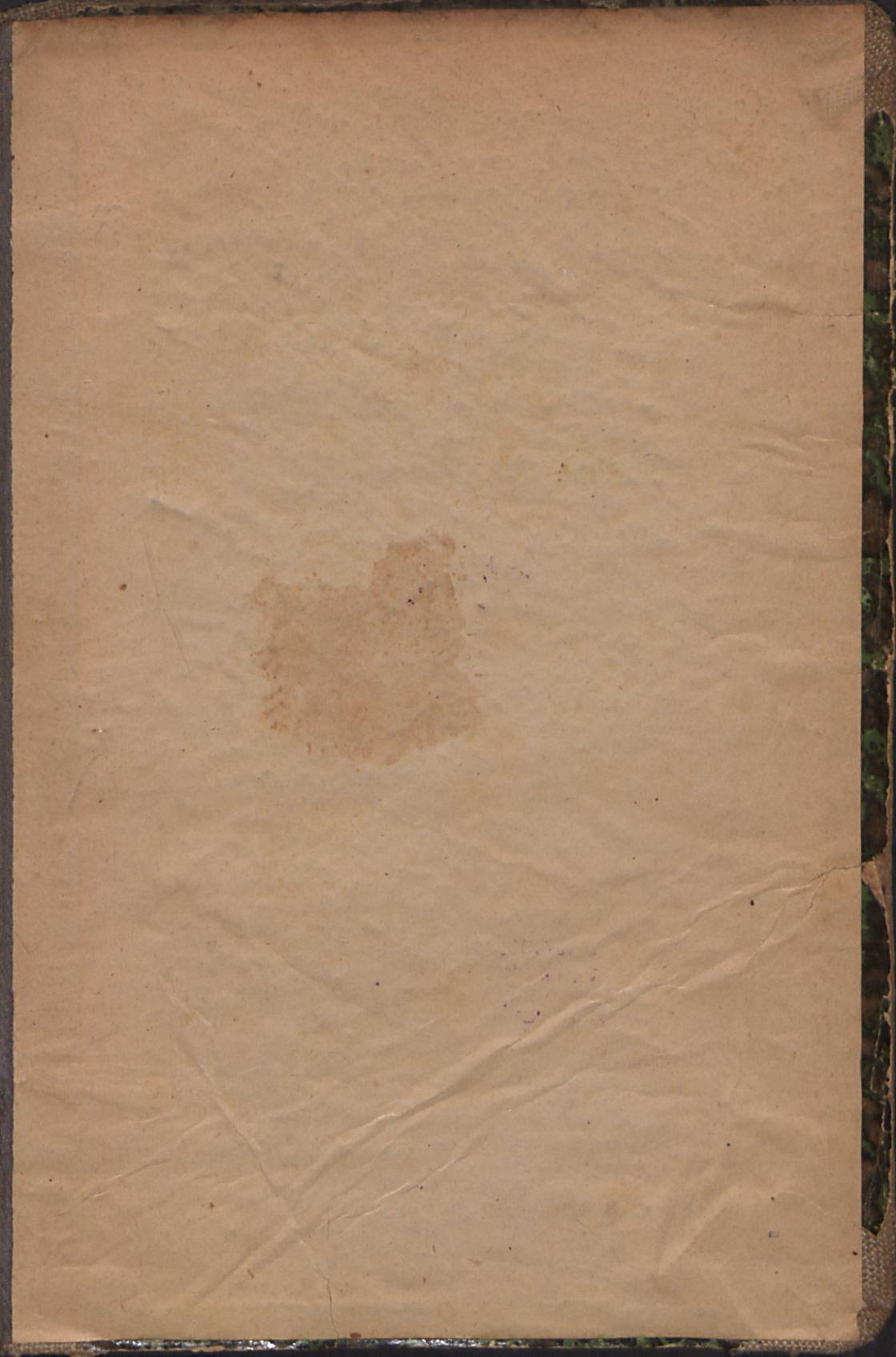
1 9 2 7



480

12345678910

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.



Księgozbiór BP



10084407

Zamosc ul. Pereca 14

Biblioteka Publiczna